EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 czerwca 1938 r. Nr 17 (120)

Od krańców Pomorza po rubieże Małopolski

Dzień demokracji polskiej

Święto Ludowe mamy już za sobą.

Kierownictwo Stronnictwa Ludowego wezwało rzesze chłopskie, rzesze tych co „żywią i bronią", by przyszły świadczyć, że chłop polski chce być w wolnej ojczyźnie wolnym i pełnoprawnym współgospodarzem. I rzesze te przyszły.

Przyszły w Małopolsce, starej tradycyjnej warowni ruchu ludowego. 30.000 w Borku Tarnowskim, 30.000 w Bochni, 15.000 w Łańcucie, 15.000 w Limanowej, 10.000 w dalekim Buczaczu.

Przyszły też w b. Kongresówce, gdzie po aktach zaprzaństwa tylu przywódców wieś znowu skupia się dokoła własnych, chłopskich sztandarów. 15.000 w Łowiczu, 15.000 w Sieradzu, 15.000 w Stopnicy, 15.000 w Wieluniu, 10.000 w Gombinie pod Gostyninem, 10.000 w Miechowie.

Przyszły także w Poznańskim, gdzie endecja dotąd uzurpuje sobie prawo do niepodzielnego „rządu dusz". Tysiące chłopów zgromadziło się w Bninie, w Węgrowcu, w Kazimierzu, pow. Szamotulskiego, w Bogdanowie pod Obornikami, w licznych miejscowościach Pomorza.

Od Podhala po Słonim, od krańców Pomorza po daleką Włodawę — stanęły na wezwanie rzesze chłopskie. Nikt za nich nie płacił przejazdów, nikt nie przygotował im namiotów i kuchen polowych, nikt nie obiecywał za udział ulg żadnych. Wiodła je wiara w słuszność własnej sprawy, wiara w demokrację oraz miłość Ojczyzny.

Chłopi nie szli jednak sami. Tak jak sześć tygodni temu, w dzień robotniczego święta zielone sztandary chłopskie powiewały wśród sztandarów, PPS, tak teraz delegacje robotnicze stanęły wśród chłopskich szeregów. W największych skupieniach demonstrujących, w Bochni, w Borku Tarnowskim, w Sieradzu przemawiali przedstawiciele PPS i związków zawodowych, rozbrzmiewała tradycyjna pieśń polskiego socjalizmu i stara pieśń demokracji polskiej, dzisiejszy hymn ludowców „Gdy naród do boju..." Dzień Święta Ludowego stał się dniem zbratania robotników i chłopów w walce o demokrację.

Nie tylko socjaliści demonstrowali razem z chłopami. Przemawiali na obchodach chłopskich przedstawiciele Klubów Demokratycznych. Przemawiali przedstawiciele Stronnictwa Pracy. Przemawiali, zwłaszcza na ziemiach zachodnich przedstawiciele dzielnej, szczerze demokratycznej młodzieży tego stronnictwa z „Jedności". Przemawiali z tej samej trybuny, co przedstawiciele PPS i związków zawodowych. Nie jedni przeciw drugim, lecz jedni i drudzy obok siebie, jedni i drudzy przeciw wspólnemu wrogowi: totalizmowi, „elitaryzmowi", faszyzmowi. Dzień Święta Ludowego stał się dniem demonstracji całego obozu demokracji, obejmującego także nawet najbardziej umiarkowane odłamy.

Faszyzm zgłosił się sam. W wielu miejscowościach bojówki endeckie usiłowały zakłócić przebieg chłopskego święta. I rzecz charakterystyczna: to nie tam, gdzie, jak w Małopolsce i w b. Kongresówce, gdzie sojusz z socjalistycznym ruchem robotni-

czym stał się już niemal artykułem wiary rzesz chłopskich — endeccy krzykacze wykazali największą zuchwałość. Być może respekt wobec twardych chłopskich pięści hamował tam ich gniew na ludowcowo-pepesowską „żydokomunę". Właśnie w Poznańskim, na tych terenach, gdzie myśl współpracy z socjalistycznym ruchem robotniczym ostatnio dopiero zapuściła głębsze korzenie, endecja najbardziej była skłonna do akcji. To tu do tych rzekomo „prawicowych" ludowców poznańskich, tak niedawno jeszcze kokietowanych przez p. Bieleckiego, ryczały, jak do bydła, rozwydrzeni endeccy pałkarze. To właśnie „umiarkowanego" ob. Mikołajczyka usiłowały zagłuszyć endeccy bohaterowie. Przekonali się, co prawda, że „umiarkowani" ludowcy poznańscy mają pięści nie mniej twarde, niż „czerwoni" kongresowiacy i rzeszowiaki.

Z gorzką ironią pisała nazajutrz „Gazeta Grudziądzka", organ właśnie „tego umiarkowanego" skrzydła Stronnictwa Ludowego: „Pryszczyca i endecja przedstawiły się chłopom jako zakała wsi polskiej. Jedna i druga chciałaby chłopa polskiego zamknąć w opłotkach, nie wypuścić go na szerokie tory". Chłopi-ludowcy poznańscy wyciągnęli z endeckiej zuchwałości jedyny słuszny wniosek: zaostrzyli swą walkę z endecką reakcją. „Ślubujemy, — brzmi zamieszczona w „Gazecie Grudziądzkiej", jedna z wielu, rezolucja zebranych w Bogdanowie chłopów z powiatu obornickiego — „że nie spoczniemy, póki nie wytępimy na swej ziemi endecko - sanacyjnej zarazy". Atak endecki scementował demokrację

Jasno, wyraźnie zarysowały się „linie podziału" w dzień chłopskiego święta. Z jednej strony, obóz demokracji, od socjalistów po chrześcijańskich demokratów ze Stronnictwa Pracy. Z drugiej strony — obóz zjednoczonej reakcji. Dzień Święta chłopskiego udowodnił raz jeszcze, że większość społeczeństwa, że większość narodu skupia się pod sztandarem demokracji.

Zachód mówi:

Stany Zjednoczone przeciwko „osi"

STANY ZJEDNOCZONE PRZECIWKO „OSI"

Hasło zespolenia demokracji światowej przeciwko agresji totalistycznej, podjęte przez przeważającą większość opinii francuskiej, a także przez znaczny odłam społeczeństwa angielskiego, obejmujący już liberałów, labourzystów i poważne koła konserwatystów, — odbiło się żywym echem za Oceanem. Stanowcze wezwania do „współpracy wszystkich, którzy szanują prawo" i ostre słowa potępienia polityki „osi" padły obecnie z autorytatywnych ust odpowiedzialnego za politykę zagraniczną Stanów sekretarza Stanu Hulla i jego zastępcy, podsekretarza Stanu Sayre'a.

Te słowa potępienia nie są bynajmniej pustymi dźwiękami, lecz znalazły już swój odpowiednik w konkretnych pociągnięciach: najbardziej uderzającymi z nich była odmowa Stanów sprzedaży helium dla Zeppelinów niemieckich i poprawne, lecz wrogie wobec faszysty Cedillo, stanowisko władz amerykańskich w ostatnim puczu meksykańskim.

Ameryka deklaruje się otwarcie po stronie demokracji. Nasi hitlerofile, przemycając totalistyczną kontrabandę pod płaszczykiem „realizmu" politycznego, powinni się głęboko zastanowić nad mową Hulla, którą w obszernych wyjątkach przytaczamy poniżej. Bądź co bądź przecież i polityka Stanów Zjednoczonych jest również czymś bardzo realnym w świecie dzisiejszym, chyba rzeczą jeszcze bardziej realną, niż najpiękniejsze nawet zapewnienia pana Goebbelsa.

Epoka

WIERZYMY W DEMOKRACJĘ

„My w Stanach Zjednoczonych wierzymy w demokrację. Wierzymy, że system demokratyczny stanowi najbardziej skuteczną formę organizacji społecznej i politycznej. W systemie demokratycznym zachowuje się i wolność jednostki i odpowiedzialność wobec opinii publicznej. One to, stwarzając prawdziwą dyscyplinę społeczną, opartą na woli ludu, stanowią prawdziwą treść demokracji."

OBRONA PRAWA W STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH

„Mimo różnic w ustrojach politycznych, olbrzymia większość ludzkości wyznaje, jako podstawowe prawo społeczeństwa, zasadę porządku w ramach prawa. Zasada ta, ogólnie przyjęta w stosunkach pomiędzy jednostkami ludzkimi, niestety o wiele mniej jest stosowana pomiędzy państwami. Najważniejszym problemem, jaki stoi w chwili obecnej przed ludzkością, jest stworzenie na całym świecie — jako podstawy dla przyszłego postępu — niezachwianego poszanowania dla porządku w ramach prawa. Trzeba wytrwałego i systematycznego wysiłku, by przekonać świat, że to potrzebne i że **trzeba udzielić pełnego i skutecznego poparcia wszelkiej procedurze, zmierzającej do obrony prawa w stosunkach międzynarodowych.**

W OBRONIE POKOJU

„Obrona pokoju musi być wytyczną polityki rządów. Państwa powinny, w ramach dobrowolnej dyscypliny, zrezygnować z używania siły przy realizowaniu swej polityki i z **mieszania się w stosunki wewnętrzne**

innych państw. Problemy, jakie wysuwają się w stosunkach pomiędzy państwami, powinny być regulowane w drodze pertraktacji i pokojowych porozumień. Wszystkie państwa powinny uznać zasadę poszanowania traktatów i przestrzegania umów międzynarodowych."

„Każde państwo powinno szanować prawa innych państw i dotrzymywać skrupulatnie swych własnych zobowiązań traktatowych".

SZALONE TWIERDZENIE

„Trzeba się zdecydowanie przeciwstawić szalonemu twierdzeniu, że wojna jest nieunikniona. Jestem głęboko przekonany, że prędzej czy później używanie siły zbrojnej jako narzędzia polityki narodowej stanie się czymś tak nienawistnym i oburzającym sumienie ludzkości, że wojna zostanie oddana do muzeum potworności wraz z wielu innymi praktykami, które istniały za czasów, gdy ludzie jeszcze nie byli cywilizowani."

„Nie ma takich sporów pomiędzy narodami, które nie mogłyby być uregulowane przy pomocy środków pokojowych."

„Niestety dzisiaj wojna jest jeszcze obok nas. Z postępem wiedzy i techniki broń wojenna nabiera coraz straszniejszej, coraz okrutniejszej siły zniszczenia."

„Idea, że wojnę trzeba postawić poza prawem, postawić poza prawem wspólnego porozumienia całej ludzkości, powoli ale stale zdobywa sobie zwolenników. Pakt Kelloga oznaczał ważny krok naprzód na drodze przetworzenia tej idei w rzeczywistość polityczną. Proces jej realizowania będzie trwał nadal, gdyż idea ta łączy w sobie obronę słusznie rozumianych interesów osobistych z najwspanialszą moralnością. Albowiem siła jej pochodzi z ducha, który zawsze, wcześniej lub później triumfuje nad brutalną siłą."

PRZYGWOŻDŻENIE „OSI"

„Ludzkość przeżywa dziś chwile, które mogą mieć niezwykle daleko sięgający wpływ na jej przyszłe losy. Znowu panoszy się w pewnych okolicach kuli ziemskiej duch międzynarodowej anarchii. Uroczyście zatwierdzone zobowiązania traktatowe są przekreślane z lekkim sercem jednym pogardliwym machnięciem ręki. Stare hasła gloryfikacji wojny rozbrzmiewają znowu w niektórych ośrodkach świata. Bezwstydna siła zbrojna stosowana jest znowu jako środek polityki narodowej, jako metoda osiągania celów państwowych, jako środek ekspansji terytorialnej i agresji. Środki te stosowane są z brutalnością i dzikością, która obraża wszystkie uczucia ludzkie i rozpętuje wszystkie niskie instynkty".

PRZECIW PRZEMOCY I SAMOWOLI

„Przeciw tej fali brutalności kieruje się dziś opinia publiczna świata. Aby scharakteryzować jej reakcję, użyję słów Daniela Webstera, wypowiedzianych przed przeszło stu laty, ale nie mniej aktualnych i dzisiaj:

„Był czas, kiedy floty, armie i kredyty wojenne były głównymi środkami akcji, nawet w imię najlepszej sprawy. Dziś sytuacja zmieniła się zasadniczo. Rozwój kultury stworzył opinię publiczną, która potrafi odnosić zwycięstwa nad brutalną siłą. Opinia publiczna świata cywilizowanego potrafi przeciwstawić się niesprawiedliwości i uciskowi z coraz to większym skutkiem. Można nakazać jej milczenie przy pomocy siły zbrojnej, ale nie można jej zniszczyć. Jest ona elastyczna, niezniszczalna, niedosiężna dla zwykłej broni wojennej. To ona jest wrogiem nieubłaganym, chociaż niewidocznym wszystkich systemów przemocy i samowoli".

NIEDWUZNACZNA DEKLARACJA

Nasi prezydenci, nasi sekretarze stanu od czasów Waszyngtona i Tomasza Jeffersona przestrzegali tradycji, uznawali, że w stosunkach międzynarodowych **państwo nasze powinno być siłą walczącą po stronie pokoju, po stronie sprawiedliwości, po stronie moralności i uczciwości międzynarodowej. Nigdy bardziej, niż dziś nie było rzeczą konieczną, by Stany Zjednoczone wystąpiły z całą mocą w obronie prawa, w obronie interesów własnych i interesów całej ludzkości.**

Cordel Hull (z mowy w Nashville)

„ŚWIAT PATRZY NA AMERYKĘ"

„Świat patrzy na Amerykę. Wspaniałym przeznaczeniem Stanów jest być nadzieją świata, umęczonego przez wojnę. Nasze sprawy na równi ze sprawami naszej cywilizacji, nakazują nam przyłączyć się do obrony prawa przeciw sile i porządku przeciw anarchii. Nie zapewnimy sobie trwałego pokoju w żaden inny sposób. Nasza polityka zagraniczna musi się kierować tym wzniosłym celem".

„Nie wolno, aby Stany Zjednoczone nie odgrywały roli politycznej w chwili tak decydującej o przyszłości świata, jak dzisiejsza".

PRZECIW CIEMNYM SIŁOM

„Kiedy siły bezprawia działają, bezczynność oznacza poparcie zła przeciwko siłom dobra. Największą zachętą, jakiej można udzielić tym ciemnym siłom bezprawia, jest napełnienie ich przekonaniem, że nie grozi im nic ze strony tych, którzy posiadają siłę, zdolną się im przeciwstawić. Musimy być zdecydowani i gotowi do stawienia oporu agresji bezprawia".

O WSPÓLNĄ ZORGANIZOWANĄ OCHRONĘ

„Aby prawo było skuteczne, a pokój trwały, trzeba, aby znalazły się one pod wspólną ochroną wszystkich, którzy szanują prawo. Trzeba przywrócić zaufanie pomiędzy państwami pokojowymi. Wtedy droga postępu prowadzić będzie nie, jak obecnie, przez współpracę nie przygotowaną, samorzutną ale przez współpracę zorganizowaną, planową".

Podsekretarz Sayre (z mowy radiowej)

FRANCJA OBOK STANÓW ZJEDNOCZONYCH

„Świat dokoła nas przechodzi wstrząsy przewrotu. Wśród burzy tego przewrotu Francja stanowi jeden z ostatnich bastionów wolności i godności ludzkiej, na których opiera się nasza cywilizacja. Francja nie ulegnie szaleństwu, które chce przekreślić wszystkie wartości europejskiej cywilizacji. Francja nie powie o wolności, że jest próżna, o godności człowieka, że jest sennym marzeniem, o sprawiedliwości, że jest kłamliwa. Francja nie pozwoli, by przemoc znowu decydowała w stosunkach między ludźmi. Chcemy zachowania pokoju. Ale nasza miłość pokoju nie jest słabością".

Premier Daladier (z mowy w Lyon)

PRZECIW UZBROJONYM DYKTATOROM

„Lepiej, żeby były dwa bloki zbrojne, aniżeli, by był jeden tylko blok uzbrojonych dyktatorów, podbijających bez przeszkód jeden kraj po drugim, podczas gdy państwa pokojowe pozostają w rozsypce i czekają tylko, na które z nich wpierw przyjdzie kolej".

Winston Churchill

„Wszelkie ślady muszą być zacierane"

Krecie chody obcej propagandy

Paul Allard ogłasza na łamach prasy francuskiej sensacyjne dokumenty, odsłaniające kulisy propagandy hitlerowskiej — propagandy „nieoficjalnej", niezwiązanej formalnie z władzami Rzeszy, lecz osłoniętej wygodnym parawanem partii. Dokumenty te odtwarzają działalność **A. O.**: „Auslands Organisation", która jest centralą propagandy hitlerowskiej, sztabem olbrzymiej armii, której żołnierzem miałby być każdy Niemiec, przebywający za granicą. Biuletyn organizacyjny A. O. oświadcza z dumą: — „Niema na całym świecie miejsca o jakim takim znaczeniu, które nie byłoby siedzibą regionalnej, lokalnej lub stałej grupy propagandowej".

Szefem A. O. jest Bohle, jego najbliższym współpracownikiem — dr Koderle. Oto niektóre sekcje A. O.:

kulturalna (nauczyciele, mówcy, studenci),

handlowa (personel wielkich firm i komiwojażerowie),

„portowa" (dla przemytu materiału propagandowego, ułatwienia ucieczki zagrożonym),

prasowa.

Ostatnia — prasowa sekcja — jest bodaj najważniejsza. Wszystko w tej dziedzinie jest tajne i poufne. W myśl zarządzeń Bohlego „korespondencja administracyjna między centralą A. O. a grupami musi być ściśle poufna. Pisma szczególnej wagi winny być niszczone. Wszelka nieostrożność będzie karana z najwyższą surowością.

„Za każdym razem, gdy czynione będą próby wpływania na pewne osobistości za granicą za pomocą środków materialnych — muszą być zacierane wszelkie ślady. Sprawy te muszą być załatwione w cztery oczy. Nigdy nie dokonywać takich wypłat czekiem czy przekazem".

A jak owładną prasą?

Oto np. w myśl instrukcyj okólnika poufnego regionalnego kierownictwa propagandy w Hiszpanii:

1. Każda grupa lokalna mianuje szefa prasowego, który nawiązuje łączność z szefem regionalnym, Gustawem Rederem w Madrycie.

2. Nie należy używać kopert ani papieru listowego z napisem partyjnym.

3. Kierownictwo prasowe ma obowiązek nadzoru prasy lokalnej, regularnego nadsyłania materiału o Rzeszy, **nawiązania kontaktu z wydawcami i redaktorami**, aby — z jednej strony zapobiec ogłaszaniu artykułów wrogich dla Niemiec, z drugiej zaś — aby ukazywały się artykuły nadesłane przez A. O. Należy ułożyć i stale uzupełniać listę dzienników wraz z personelem wydawców i współpracowników i danymi o orientacji politycznej.

Oto dla przykładu pozycja z kartoteki A. O.:

Dziennik: A. B. C.

Właściciel: Luca de Tena, magnat sewilski, producent oliwy.

Dział polityki zagranicznej: Andres Revez, Żyd węgierski.

Stanowisko wobec Rzeszy: na ogół życzliwe. Od czasu do czasu pojawiają się jednak artykuły przeciw hitleryzmowi.

Nawiązane kontakty: poczynione próby przygotowawcze.

Nie trudno się domyśleć, że owe „próby" są niczym innym, niż próbami przekupienia, czego zresztą nie tai okólnik Bohlego, zalecający jedynie „ostrożność i zacieranie śladów".

„BEIGBEDERZY"

Kiedy, w pierwszych dniach rebelii hiszpańskiej, jako gubernator Maroka, a więc, wówczas, głównej bazy gen. Franco, pojawił się p. płk. Beigbeder, to niektórzy zdziwili się zlekka, skąd w armii hiszpańskiej, na wysokim stanowisku wojskowym, osobistość o tak nie-hiszpańskm nazwisku. Złośliwi mówili, że p. płk. awansował tak szybko w armii hiszpańskiej dlatego, że miał świetną szkołę — niemieckiego sztabu generalnego. Ale odtąd tyle już nazwisk niemieckich pojawiło się w dowództwie hiszpańskiego nacjonalizmu, że przestała już dziwić obecność p. Beigbedera. Zresztą nie tylko hiszpańskiego nacjonalizmu. Prasa francuska, angielska, szwajcarska, podała, że kiedy adiutantowi wodza ukraińskich nacjonalistów, Konowalca, zamordowanego w tajemniczych okolicznościach w Amsterdamie, pokazano zmasakrowane zwłoki jego szefa, młodzieniec ten wybuchnął niepohamowanym płaczem i szeptał raz po raz: „Mein Führer! Mein Führer!" Zwracamy uwagę: nie „Mij wożdiu!", jak należało się, podług narodowości „wodza" i rzekomej narodowości jego „Gefolgsmanna" spodziewać, a właśnie „Mein Führer". Jak na płomiennego, niebiesko-żółtego nacjonalistę, asymilacja języka posunięta wcale daleko.

„Beigbederzy" pojawiają się i gdzieindziej. Przy ostatnim powstaniu „integralistów", bojowych nacjonalistów brazylijskich, walczył i zginął jako komendant powstańców niejaki p. von Hasselman, niewątpliwie autentyczny, pełnej krwi portugalskiej „Brasilero"...

Nie on jeden. Kiedy w Meksyku w ostatnich tygodniach p. generał Cedillo podniósł bunt meksykańskiego faszyzmu przeciw wywłaszczeniu przez demokratyczny rząd meksykański amerykańskich i angielskich koncernów naftowych, jako wojskowy doradca p. generała sprawował urząd p. v. Merck. Niewątpliwie, londyński dom Rotszyldów, udziałowiec przede wszystkim zainteresowanego w tej aferze koncernu „Royal Dutch - Shell" wdzięczny był głęboko p. von Merckowi i nie miał mu nawet za złe antysemickich ulotek przy których pomocy próbował on wśród ludności indyjskiej dalekich pueblos zasiać ziarna ideologii Trzeciej Rzeszy... pardon, przepraszamy, ideologii m e k s y k a ń s k i e g o nacjonalizmu.

Nie zawsze te rzeczy są tak proste i przejrzyste. Nie wszędzie można postępować tak bezceremonialnie. Czasami pasuje się na „wodza" miejscowego pętaka dwudziesto-kilkoletniego, zaopatruje się go w „ideologię", w środki propagandy itd. Taki Degrelle w Belgii, to klasyczny okaz tego typu. „Beigbeder" siedzi wtedy schowany gdzieś w wydziale finansowym. Może on siedzieć też jako skromny urzędnik w administracji pisma. Czy nie tak, w kryminalnej pamięci dziennika „Jutro" siedział baron Poeck z Berlina czy innej Norymbergii? Czasami „Beigbeder" to radca prawny konsulatu Trzeciej Rzeszy, sam oddawna „zasymilowany" z „narodem tubylczym".

„Beigbederzy" pokazują się wprawdzie w różnych przebraniach, **ale robią jedną robotę.**

Z DNIA NA DZIEŃ

KOMU TO POTRZEBNE?

„Kurier Poranny" prowadzi swoistą politykę zagraniczną. Nie jest to oczywiście polityka, odpowiadająca interesom i dążeniom olbrzymiej większości narodu, w czym ostatecznie nie było by nic dziwnego, bo trudno chyba wymagać od ludzi, całkowicie przegranych i wyobcowanych z żywego życia polskiego, by wiedzieli, jaka polityka zagraniczna odpowiada istotnym tego życia potrzebom. I — po prawdzie — nie wielka stąd szkoda, jeże pismo, które nikogo w społeczeństwie nie reprezentuje i na niczyj posłuch liczyć nie może, uprawia politykę, odpowiadającą upodobaniom nielicznej grupki reakcjonistów, nie zaś rzeczywistym potrzebom **kraju**.

Mimo to nie sposób przejść obojętnie wobec pewnych chwytów „Kuriera Porannego" w dziedzinie polityki zagranicznej. Bo trzeba pamiętać, że zagranica pilnie czyta całą prasę polską i nieodpowiedzialne wystąpienia niektórych polskich organów prasowych mogły by stworzyć na Zachodzie fałszywe wyobrażenie o nastrojach naszego społeczeństwa. W ciągu ostatnich tygodni można przecież było przekonać się, jak wielką wagę przywiązują we Francji i Anglii do stanowiska Polski wobec grożącego republice czechosłowackiej złowrogiego niebezpieczeństwa. Trzeba więc, żeby w krajach tych umiano odróżnić postawę patriotycznej opinii polskiej od nieodpowiedzialnych wybryków prasy reakcyjnej.

Dla przykładu bierzemy do ręki **jeden numer** „Kuriera Porannego": olbrzymi tytuł: **Czesi chcą sprowokować rozruchy głodowe w Sudetach.** Nieco niżej wielki podtytuł: **Gwałty czeskich żołnierzy wobec obywateli Rzeszy.** Obok — napaść na „Nową Rzeczpospolitą" za jej zgodne z wolą społeczeństwa stanowisko w sprawie czechosłowackiej. Na pierwszej stronie tasiemcowa „korespondencja" z Pragi, której autor m. in. pisze **dosłownie:** „Dla rządzącego narodu czeskiego (nie bez przyczyny jest zresztą przeszłość historyczna, która pozostawić musiała swoje piętno) hasła o poświęceniu, o prawdziwym patriotyzmie są rzeczą raczej obcą i daleką".

Na cóż zda się pouczanie tego pana o wspaniałej, bohaterskiej „przeszłości historycznej" narodu czeskiego, o wojnach husyckich, o Białej Górze, o mężnej, podziwu godnej postawie Czechów w latach 1914-18, o ich wielkim przywiązaniu do niepodległości?

Ale szkoda słów! Chciałoby się tylko zapytać: Komu właściwie służyć ma ten cynizm pióra pod ręką takiego skryby i w imię czego pozwala się lżyć w mowie polskiej naród, który w obliczu śmiertelnej groźby zagłady przez potężną obcą przemoc zapowiedział światu, że nawet w osamotnieniu będzie bronić swej niepodległości do ostatniej kropli krwi swego ostatniego żołnierza?

Koniunkturalni przyjaciele

Na Słowaczyźnie odbyły się niedawno demonstracje reakcyjnego, madziarońskiego stronnictwa Hlinki, cieszącego się gorącą sympatią pewnego odłamu prasy polskiej. Prasa ta ma dziwnie krótką pamięć, skoro „zapomniała" głośny swego czasu proces szpiegowski w Bratislawie, kiedy to wybitny działacz hlinkowski, dr Wojciech Tuka skazany został na 15 lat ciężkiego więzienia za szpiegostwo na rzecz Węgier. Taki jest duch hlinkowskiego „autonomizmu", którego realizacja miała by stać się etapem na drodze powrotu Słowaczyzny do korony św. Stefana. Jesteśmy przekonani, że w interesie narodu słowackiego, który w ciągu **tysiąca lat** był gnębiony i wynaradawiany przez możnowładztwo węgierskie, nie leży nawrót do tych dobrych, dawnych czasów, kiedy używanie języka słowackiego w życiu prywatnym uchodziło za nieprzyzwoitość — bo o prawach tego języka w życiu publicznym nie mogło oczywiście być mowy! Dążenie do maksymalnego rozwoju życia narodowego, pielęgnowanie pięknej i oryginalnej, słowackiej kultury ludowej, podnoszenie dobrobytu najszerszych rzesz ludności tego kraju, uwstecznionego ekonomicznie przez długoletnią, rabunkową gospodarką budapeszteńskiego centralizmu — oto przyszłość Słowaczyzny, której życzą jej wszyscy prawdziwi, nie koniunkturalni przyjaciele. Przyszłość ta spoczywa w demokracji i wzmocnieniu republiki, nie zaś w podporządkowaniu słowackiej polityki narodowej zaborczym, mitteleuropejskim planom pangermanizmu i sprzężonego z nim wielkowęgierskiego rewizjonizmu. Dlatego politykę zgrupowanych dokoła Hlinki madziaronów cała demokracja polska uważa za szkodliwą i antynarodową, sprzeczną z prawdziwymi interesami Słowaczyzny, niebezpieczną dla pokoju i wolności narodów. Bo tęsknoty pp. Studnickiego, Czerwiskiego i innych naszych mitteleuropejczyków nie są tęsknotami olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego Nie chce ono tańczyć pod melodię, którą mu gwiżdżą wbrew jego chęciom i upodobaniom. Rozumie, że prawdziwa przyjaźń polsko-słowacka polega na braterstwie demokracji, na nieustępliwości wobec reakcyjnego naporu — jak nakazuje **polska**, narodowa racja stanu.

P. S. W niedzielnych wyborach na Słowaczyźnie hlinkowskie madziaroństwo poniosło (poza rewirem samego Hlinki) kompromitującą klęskę.

Cóż to za ambasador?

Był sobie, parę lat temu, gdzieś na lewicy, młody poeta, zapoznany geniusz, p. Łaszowski. Bywał w Z.N.M.S-ie, witał się podniesioną pięścią, mówił „Wolność", jak wszyscy. Nie drukowany bywał mimo to zbyt często. Podobno — z braku talentu.

P. Łaszowski uznał, że wcale nie dlatego. Że właściwa przyczyna tkwi gdzieindziej. Że to żydowska konkurencja winna i żydowski smak, uprawiany przez krytyków lewicowych. I poszedł sobie — gdzieindziej...

Zgłosił się jako giermek do wodza Falangi. Napisał parę artykułów tchnących swoistą „tężyzną". Odtąd drukuje go cały koncern prasowy, czerpiący swe natchnienie u źródeł duchowych p. Goebbelsa. Stał się świecznikiem „narodowej" prasy.

Stał się czymś więcej. Dyplomatą. Coprawda, narazie, dyplomatą, niejako prywatnym. Dyplomatą do szczególnych poruczeń.

Był w Rumunii. Pisał stamtąd reportaże. Gadał z panem Codreanu. Jak wieść

niesie, zawarł z nim imieniem „Falangi", pakt braterstwa i współpracy. Pakt nie został wcielony w życie. Bo tymczasem p. Codreanu zasiadł — w kryminale. Za szpiegostwo na rzecz Niemiec, jak brzmiał wyrok bynajmniej nie demokratycznego sądu, wyznaczonego przez rząd patriarchy Cristea.

Czy p. Łaszowski wiedział z kim rozmawia? Czy wiedział, że zawiera pakt z agentem wywiadu Trzeciej Rzeszy? In dubio pro reo — mówi stara zasada prawna. W wypadku wątpliwości zapisać na rzecz i dobro oskarżonego. Dla p. Łaszowskiego ta zasada to „staroświecka zabawka żydowskiego wyrobu". Ale mimo to — załóżmy, że nie wiedział.

Ale jak godzi się patrzeć na ostatnią eskapadę p. Łaszowskiego? P. Łaszowski pojechał tym razem w gościnę do Henleina. Henlein, to już **jawna** agentura Trzeciej Rzeszy. Jawna i oczywista dla każdego.

Ostatnia „Kronika" przyniosła obszerne sprawozdanie z sudeckiej podróży p. Łaszowskiego. Dowiadujemy się tam m.i. że demonstranci czescy w Pradze porozumiewają się między sobą po... rosyjsku i żydowsku.

Mniejsza o to. Ciekawsze jest inne pytanie:

Co za licho niesie p. Łaszowskiego wszędzie tam, gdzie w danej chwili agenci Trzeciej Rzeszy rozwijają swoją gorączkową działalność?

Co za licho każe tym agentom przyjmować tak serdecznie p. Łaszowskiego, mieniącego się przecież **polskim** nacjonalistą?

Co za licho każe bojowym organom **polskiego** nacjonalizmu drukować metrowe płachty, będące niejako reklamą **ekspansji terytorialnej** Trzeciej Rzeszy?

ZARAZKI CHOROBOTWÓRCZE

Jak donosi „Nowa Rzeczpospolita", Rudolf Jung, dawny przywódca hitlerowców sudeckich, który zbiegł do Niemiec, gdzie piastuje wysokie stanowisko w SS., wygłosił niedawno referat o żądaniach hitlerowskich w stosunku do Czechosłowacji:

„Według Junga krajem niemieckim są nie tylko Sudety, ale i trzy kraje koronne: Czechy, Morawy i Śląsk. Są one nadto „praniemieckimi krajami". Sama Praga była stolicą Niemiec przez jedno stulecie. Jung stwierdził, że spór niemiecko-czeski jest „sporem wiecznym" i może być tylko radykalnie zlikwidowany przez połączenie tych krajów politycznie, gospodarczo i kulturalnie z Wielkimi Niemcami".

Już dziś cały świat wie, jaką treść wkładają hitlerowcy w pojęcie „Wielkich Niemiec" i „praniemieckich krajów". I jeszcze są w Polsce organy prasy, z której łamów zapowietrzonych rozbrzmiewa szeroko, entuzjastyczny okrzyk: Heil!

NA SKRZYDŁACH FANTAZJI

Poseł Wojciechowski, jeden z filarów Ozonu na ziemiach południowo-wschodnich, pisał nie dawno w lwowskim „Dzienniku Polskim":

„Chłopi, robotnicy, mieszczanie źle się czują w partyjno-klasowych stronnictwach. Żywy prąd Zjednoczenia, płynący często niezależnie od akcji organizacyjnej Obozu Zjednoczenia Narodowego — choć równolegle z tą akcją — rozsadza ramy starych ugrupowań partyjnych..."

Kto nie ma uszu i oczu zamkniętych na to, co się dzieje w społeczeństwie, wie, że jeszcze nigdy w ciągu ostatnich lat dwunastu **partie** nie były tak silne a **partia** sanacyjna tak słaba i osamotniona, jak dziś. „Żywy prąd Zjednoczenia" przebiega w kraju istotnie poza Ozonem, ale nie tylko nie „rozsadza" wielkich, masowych stronnictw demokratycznych, lecz przeciwnie: wzmacnia je i wzmacnia cały obóz demokracji, reprezentujący przyszłość Polski i potęgę Rzeczypospolitej. „Żywy prąd Zjednoczenia" przejawił się ostatnio w coraz liczniejszych aktach solidarności między różnymi odłamami demokracji, udziale chłopów-ludowców i pracującej inteligencji w święcie majowym robotników, w wystąpieniach P.P.S. w dzień Zielonego święta chłopskiego. Można się tylko dziwić, że takie fantastyczne rojenia wyszły z pod pióra właśnie pana Wojciechowskiego, którego znane i głośne doświadczenie **jarosławskie** powinno było przecież pouczyć, jak chłopi odnoszą się do swego „partyjno-klasowego" stronnictwa! Jeżeli takie rzeczy wypisuje stotalizowany skryba redakcyjny, można wzruszyć ramionami lub uśmiechnąć się pobłażliwie: nie wie, co mówi — pisze, jak każą. Ale p. Wojciechowski na swym wiecu w Jarosławiu przecież sam widział i sam słyszał! Więc pocóż tu posiłkować się wyobraźnią poetycką?

DEKLAMACJA A RZECZYWISTOŚĆ

Po zmarłym przed kilku laty rektorze uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Alfonsie Parczewskim pozostała cenna biblioteka, zawierająca z górą 7 tysięcy tomów. Księgozbiór ten, składający się z wartościowych wydawnictw treści historycznej, prawniczej, i ekonomicznej pozostawał w Kaliszu, gdzie Alfons Parczewski był przez długi czas patronem trybunału i adwokatem. Spadkobiercy jego, pragnąc, żeby biblioteka pozostała w kraju zwrócili się do zarządu miasta Kalisza, proponując sprzedaż jej za połowę ceny, oznaczonej przez poważnych znawców. Propozycja ta pozostała bez odpowiedzi, nikt również nie odezwał się na inne oferty, skierowane do różnych bibliotek w Polsce. I proszę zgadnąć, co z tego wynikło? Co wynikło z tego, w okresie, kiedy jedni mają przepełnione gęby frazesami nacjonalistycznymi, a inni serca obciążone troską o dobro naszej kultury? Oto koniec był taki, spadkobiercy po bezowocnych staraniach w kraju sprzedali ów doborowy księgozbiór rektora Parczewskiego do... Czechosłowacji.

ZŁOŚLIWOŚĆ POD WŁASNYM ADRESEM

„Nowa Rzeczpospolita" w numerze z 4 b.m. wydrukowała na pierwszej stronie pod ogromnymi tytułami doniesienie z Berlina o aresztowaniu tam 300 Żydów, a bezpośrednio pod tą wiadomością zamieściła notatkę o aresztowaniu w Austrii 200 księży katolickcih i wszystkich sekretarzy katolickich związków zawodowych. W zestawieniu ze znanymi antysemickimi uchwałami Rady Naczelnej Str. Pracy wszystko to wygląda na bardzo dobry żart, który „Nowa Rzeczpospolita" uczyniła kosztem samej siebie. Tylko, że ten żart jest zbyt smutny, żeby się można było z niego śmiać...

POEZJA OSOBISTA

„Myśl Narodowa" zamieszcza tekst odczytu prof. Chrzanowskigo o Romanie Dmowskim. Dowiedzieliśmy się tam, że późniejszy mistrz carofilstwa polskiego napisał na ławie szkolnej taki wierszyk:

Będziesz miłował wszystko, co cię
z grzechu myje
— więc i bat; całuj rękę, co tym batem
bije;
— miłuj bliźniego swego, donosząc na
niego;
jeślibyś nie donosił, bieda będzie z tego;
jeśli będziesz posłuszny jako syn zależny
to ci za to powiedzą, żeś błagonadzieżny.

Roman Dmowski — poeta w sztubackim mundurku, nie wiedział zapewne, że wierszyk ten naówczas ironiczny w sposób proroczy określa przyszłą politykę endecji, która umiłowanie bata carskiego i całowanie ręki, co tym batem bije, podniosła na długo do godności ideału „narodowego"!

O poecie który odszedł

„Czy jest we mnie ktoś inny oprócz mnie samego
Co ulega tym smutkom, którym ja krwią przeczę".
Bolesław Leśmian.

Poeta usunął się z tych wielkich gościńców rzeczywistości, na których kłębią się zagadnienia społeczne, polityczne, gdzie pieni się nurt współczesności i jak wędrowiec, szukający cienia i samotności poszedł aż na kraj świata, by mieć za sobą Oddal a przed sobą Nieskończoność. I tu, zaczarowany w krąg swych wizyj artystycznych postanowił przetrwać siebie „jako — tako", bo przecież kiedyś — wierzył — i przed jego chatą zatrzyma się wóz, którym w złą ciemność odjedzie cały sen, śpiewnie i kolaśnie. Jeżeli więc musiał istnieć, to istniał, ale tylko jako poeta. I może to z tej tragedii narodziła się wieczna wędrówka Leśmiana w pogoni za rzeczą samą w sobie. Duch jego przebiegł świat z obłoków w obłoki, aż wreszcie spróbował poznać otchłań i doszedłszy na kraj łąki pogrążył się w niepojętość zieloności, by już stamtąd nie mieć możliwości powrotu. Pasja metafizycznego wgłębiania się we wszechświecie nie miała przeminąć nigdy. Szukając wciąż na podobieństwo kantowskiego „Ding an sich" istoty rzeczy, męczył się nad zagadką poznania i wytężał wzrok aż do bolesnego ostrowidztwa. Wiedział napewno i to było dlań najgorsze, że wszystkie przedmioty, że cały otaczający nas świat rzeczy żywych i martwych, że nawet Bóg i człowiek nie są tym, czym przedstawiają ich nam nasze zmysły. Z tego transcendentalnego stanowiska każda rzecz jest nieznana, żyje własnym, odrębnym bytem, którego nie przenikniemy, uzależnieni od naszych zmysłów. Leśmian rozwiązując całe życie tę kwadraturę koła osiąga jakąś metafizyczną wprost zdolność tworzenia słów, barw, kształtów, któreby choć w części mogły — w jego pojęciu — odsłonić to, co niewidzialne, wyrazić to, co niewyrażalne. W pogoni za absolutem stał się artystą. Razi go zawsze każde słowo, dźwięk mające określać funkcję lub nazwę danego przedmiotu, gdyż te słowa i dźwięki są stworzone przez człowieka, a więc nieprawdziwe. Chcąc więc wyrazić ich rzeczywistą treść, dotrzeć do ich istoty, posługuje się Leśmian stale dziwnym tautologicznym określeniem: zaszumiały jaworowo, ale chyba wbrew jaworom. Kto ten ogród „roznicestwił" tak „liściato". Jeżeli zatem rzeczy mają swój byt, jeżeli są czymś same w sobie, więc naturalnie bezsensem byłoby antropomorfizowanie. Pozostają tylko najbardziej prawdziwe z transcendentalnego punktu widzenia takie określenia: że topola się topoli, strumień się strumieni, Bóg — którego też nie znamy — bożyście je, człowiek — człowieczeje. Niemal cała twórczość Leśmiana jest tym poszukiwaniem. Rozpaczliwe spojrzenie nie napotyka nigdzie „istoty rzeczy", choć uparcie krąży jak ptak zmęczony zarówno w świecie rzeczywistości, która mu wydaje się jawą i w świecie irracjonalnym, który jest dlań rzeczywistością.

Na pograniczu tych światów, na brzegu życia kształtuje się jakaś mglista niby — rzeczywistość. Wyrazem tych poszukiwań i pragnień, nie widzących ani ujścia, ani zaspokojenia jest bogata i różnorodna symbolika. W wizjach Leśmiana błąkają się nieustannie jakieś stwory niepodobne ani do ludzi ani do duchów, ani do zwierząt: nimfy, zmory, śnigrobki, złośliwe czmury, wyłowione z odmętów leśnych zmierzchuny — cały fantastyczny świat, stworzony wyobraźnią. Lęgną się w nim najczęściej ponure i złe strony życia ludzkiego. Poeta jednak błądzi w nim z rozkoszą, spodziewając się w tym „cienistym istnień bezładzie" odnaleźć siebie i prawdę. Bo tu, na ziemi jej napewno nie ma. Nawet w godzinie śmierci. A czy w ogóle można ją znaleźć? Głęboko symboliczną odpowiedzią jest wiersz „Dziewczyna". Dwunastu braci — ludzkość, bije młotami w mur — rzeczywistość, chcąc rozwalić go i odnaleźć dziewczynę — zagadkę życia. I cóż — runął mur. Ale poza nim nic. „Ni żywej duszy, ni dziewczyny, a tylko płacz i żal i mrok i niewiadomość i zatrata". Takiż to świat — skarży się poeta — niedobry świat. Czemuż innego nie ma świata". Jako symbolista nie poszedł jednak Leśmian śladami swych wielkich poprzedników francuskich. Zasługą jego było, że pozostał inny, oryginalny, a nawet od nich głębszy. Niewątpliwie swą potęgą wyobraźni, budującej cudne, sztuczne piękno, zbliżony był do Baudelaire'a arystokratyzmem ducha zaś, odosobnieniem, objektywizmem swej liryki — do Mallarmé, ale jak od pierwszego dzieli go baudelairowska śmierć i spleen, tak od drugiego — własna, nieporównanie większa uczuciowość. Nieskazitelność zaś formy wiersza, wypielęgnowany jego rym i doskonały rytm odbiegają daleko od katechizmu, zawartego w „l'Art poetique".

Przez tak roznicestwiony liściato ogród leśmianowskiej sztuki przedziera się zwycięsko i rozpiera gęstwę wszechrzeczy szumna rzeka — miłość. Nie czyha ona na człowieka zgubną, rozpasaną potęgą swego żywiołu. Toczy nurt spokojnie, ale biada temu, kto ufając jej spokojowi, powierzy los swój falom. Otworzą się pod nim nagle wiry ukryte i oszałamiające. Straszna jest, bo nigdy niewiadomo dokąd zaniesie bezsilną łódź, może w jakieś mgły bez twarzy, w cieniów jakichś rozwiewiska, skąd wyłoni się nimfa — dziewczyna i pociągnie ją w odmęty nieistnienia. Żądza miłości, ekstatyczna i nieokiełznana ogarnia ludzi, zwierzęta, a nawet przedmioty martwe. Nigdy miłość ich jednk nie ma formy ludzkiej. Wznosi poeta dla niej pałace ze snu, do których wprowadza swoje marzenie o kobiecie. Tam jednak, na progu szczęścia pyta dziewczynę:

„A nuż jestem odmienny, niźli tobie chce się
Niż ten, którego tulisz w niemej pieszczot skardze"?

Ale dziewczyna wszystko rozumie. A tymbardziej, gdy się już w życiu duszę po kwiatach roztrwoniło, należy postronić się złudzeniom i zasnąć w ramionach kochanki choćby na chwilę inny i nieznany. Dusza już bowiem dąży w mrok, który zwie losem. Poeta na schyłku życia, chłodząc się po znojnej przez nie wędrówce Napojem Cienistym, westchnie jeszcze niekiedy na wspomnienie miłosnego obłędu. Tak, miało się stać niejedno i już się nie stanie. Dziś brak już strwonionych klejnotów. Puste są dłonie i czcze wszystkie żale. Czasem, zrzadka, poderwie się wicher

namiętnej, żądzy i jakąś nocą umówioną przyjdzie potajemnie jej przychętne ciało

przylgnie jak dawniej do piersi — ofiarnie pachnące
domyślnie bezwstydne i posłuszniejące.

Zamilknie wtedy wicher, gwiazdy i przestwory, zasłuchane we wszechogarniający krzyk rozkoszy, bo prócz niej, nic wtedy nie ma. Nawet

Mrok co wsnuje się w ich ściśliwe sploty
Nic nie znajdzie w ciałach, prócz pieszczoty.

Są to chwile krótkie i przelotne jak szczęście. I wśród pieszczot bowiem pojawia się ta sama zawsze nuta, że to wkrótce minie jak sen, a uciekająca noc zostawi niepokojące pytanie

Jakto, więc musim umrzeć tak samo jak inni!
Jak ci — choćby sprzeciwka?... Pomódlmy się za nich...

Kochanka jest też jakaś inna. Daremne są chęci, by ją posiąść na zawsze, choć całowana domdlewa na łożu. Zapodziewa się bowiem nagle w niewiadomej otchłani. Zostaje tylko jakiś nieuchwytny, niespełniony czar. Po słonecznym, kolorowym dniu czuje poeta, że nadciąga „zmierzch bezpowrotny". Zapadną weń wyznania spóźnione, ucichną w nim namiętności. Ogarnie je oddech śmierci, który czai się już w przyrodzie, w szczęściu i w życiu. Nim jednak rozpłynie się w nicość, rozigra się jeszcze raz tęczową chmurą blasków na pograniczu śmierci. Zapłonie jaskrawo tam, gdzie nie ma ludzkich, ani ziemskich kształtów, gdzie panoszy się zjawa i stwór wylęgły z mgły i nocy. Ukaże się w całej pełni swego istnienia, dionizyjsko bujna i tragiczna. Przypomnijmy sobie miłość w balladach. Poza typowymi dla tego rodzaju utworów motywami miłosnymi, rozgrywa się już wtedy przed zdumionymi oczyma mistyczne jej widowisko. Jest ono porywające w uczuciu Króla do Wiśni. Tak się zakochał, że się w mgłę rozcieńczył bladą

Jeno ustom by mogły całować
Wolno było w ogrodzie wiekować.

Ale jest i wstrząsające w żądzy parobka do piły, która go swą pieszczotą szarpie na części i rozrzuca w sprzeczne krainy, że potem ciało już siebie odnaleźć w zaświatach nie może. Mimo to, jeszcze w balladach i w wielu innych utworach ze zbioru „Łąka" uczucie ma przeważnie rzeczywistą formę, ludzki oddech. Chociaż jest rozżarzone namiętnością i ekstazą — ma prawdziwe w codziennym znaczeniu tego słowa przejawy psychiczne. Jest z ciała, krwi i kości. Gorączkowa fantazja poety odcieleśnia je dopiero ostatecznie w Napoju Cienistym. Chociaż nadal wytworne i bezwstydne, rozjątrzone i dziwożonne, staje się wizją żywiołu wszechobecnego i wszechogarniającego.

Łączą się w nim ze sobą pół-jawy i pół-ludzie. Uciekają z istnienia by się roztopić w słońcu lub zaszyć w taki jar, gdzie się czai nieskończoność

i gdzie czyha wieczny czar"

i dopiero tam zaistnieć i spełnić się i zjawić i panoszyć się wśród zórz. Ginie w tej dali bez tła Alcabon i Kurjanna. Umrzeć lub zanieistnieć w chwili szczęścia jest przeznaczeniem wszystkich kochanków. W uścisku niesytego miłości czerwia umiera Jadwiga. Miłość jest wszechogarniająca. Toną w niej zmierzchun leśny i dziewczyna, żywi i umarli, Śnigrobek — stwór z krainy półduchów, półciał szaleje za mgłą. Miłość ich jest zmysłowa i gorąca, ale i Śnigrobek musi skonać w objęciach kochanki. Ma jednak piękny pogrzeb. W noc żałobną chowają go cienie wszystkich umarłych a mgła rzuca do trumny kawał skrzystego nieba. Kochają się i Panna Anna z kukłą z drewna, strumień i dziewczyna, wszystko, nawet przedmioty martwe między sobą, ale miłość ich odcieleśniona nigdy się nie zjawi i nigdy się nie spełni. Leśmian rzucił przyrodzie i niebu pieśń przeogromną i wszechludzką. Poczęta w rozwiei natchnienia, zdumiewa i przeraża swym lirycznym rozpędem, w którym rozbłyskuje słowem bogatym, dźwięcznym i wyniosłym.

Jak siła porywająca i niszczycielska stapia w swym żelaznym rytmie konieczności żądze ludzkie i nieludzkie, namiętności dobre i złe, sen i rzeczywistość, życie i śmierć. Ale czasem oddycha też melancholią rzeczy niepoznanych, smutnych i głębokich, wyrażalnych jedynie głosem czujących siebie serc.

I cóż pozostaje po znojnych dniach? Trzeba drżącą już, starzejącą się ręką sięgnąć po Napój Cienisty. Jest on dobrą ochłodą. Przyrządzony z mgły i wina, z resztek życia i srebrnych jego szumowin ma zapach dali i smak zaświatowy. Gdy zabulgocze w krtani i rozleje się po żyłach, trzeba wyjść na próg chaty, zmrużyć oczy od zachodu i iść w szumiący błękitem i zielenią sad.

Już czas w nim ukochać pustkowie bezdomne
Ptaki niebem schorzałe i drzewa ułomne...

Życie poety, które było radosnym w snach znieruchomieniem, czy porwie się jeszcze jak wicher z rozstajnych dróg do lotów bezkresnych?

Nie! — już zapóźno! a zresztą — poco?

Wszak wszystko, co mogło być, minęło. Tamten, który wierzył w rozpęd swej łodzi, dawno wywędrował w nicość i wołać go daremnie.

Tamten nosił w sobie młodość i wiosnę

Był leśny i był bezkresny
A dzisiaj — czyj?

Spojrzenie wstecz z granic niebytu rodzi na ustach poety uśmiech spokojny i pełen filozoficznej zadumy. Któż pojmie i zgłębi zagadkę. Śmierć — to człowieczа — jest tylko przykrym faktem. Przykrym, bo nawet w jej godzinie nie można być sobą. I ona też nie jest ostatnią przystanią, z której można odpłynąć w wiadome i rzeczywiste. Nic się z nią nie kończy. Za dalą ciągle biegnie dal. A wokół nicość, lęk i niewiadomość. Trzeba płynąć i płynąć aż do zatraty tchu i trzeba umierać wciąż bez przerw.

O, sny kłamliwe! i pocóż tyle było trudów?
I pocóż było biec tam, gdzie burza, mrok i zawierucha
By serce niepokoić i narazić ducha?

Nie będzie się niczym innym, niż się było. Nie czeka nic nowego za grobem. Nic — poza tą bramą

Gdzie się duchy zlatują ku istnienia plewom
A cokolwiek się stanie, stanie się to samo.

Czyż więc może być trup szczęśliwy? Ciało nie chce zaznajamiać się z mogiłą. A na nowe istnienie nie ma już czasu. I znów wieczna męka tej duszy — rozterka:

Bo gdzież jest bezdroże, a gdzie droga.
Gdzie dech po śmierci, ból po zgonie.
Więc nie ma tchu i nie ma Boga?
I niema nic?

Bunt rośnie, nabrzmiewa i rozszerza się by wybuchnąć skargą podniebną za śmiech niedobry i płacz bezbrzeżny, za klęskę i sny niepotrzebne

W każdym zgonie tkwi zbrodnia, co snem się powleka
Chociaż zbrodniarza brak...
Wszyscy są winni śmierci każdego człowieka
O tak. Napewno tak.

Poeta widzi winę wszystkich milczącą, zbiorową, chociaż niektórzy mówią — los. Życie zatrzymywało się akurat w tym miejscu, skąd nie będzie jutra i nie ma już wczoraj. A iść jakoś i dokądś trzeba. Bo i człowiek dość już się naczłowieczył i ogród jego zlistwionego istnienia syt. Odejść więc niepoznany i obcy, zmieszać się z gromadą snów i cieniów i iść naoślep w nicość śniącą się drogą i zniknąć w tej gęstwinie, która szumi już poza życia drogowskazem. Może tam jest ów wszechświat, w którym zgubił siebie. Bunt niedawny powoli nacicha i ustępuje owianej melancholią rzeczy niepowrotnych — rezygnacji. A za nią nadciągają i barwią się kolorowo przyjaciele późnych lat — wspomnienia.

Z jakim-że płaczem-bym zajrzał, niepoprawny śniarz
Do szyby, by swą młodość odgrzebać w jej szronie.

I odgrzebuje z radością znajome, zapomniane twarze i śmiech swój dziecięcy w końcu alei i kroki swe dudniące po grobli nad rzeką i pokój swój przepełniony wiosną i upałem. Było w tym całe ogromne istnienie. A teraz:

Te ścieżyny, których stopą dziecięcą dotykałem
Co z niemi, gdzie one.
Tak się kręcą jak łzy się kręcą
Z oczu w nicość strącone.

Łzą z oczu było życie poety. Stoczyło się w nicość i zgasło tak cicho, jak dzień w zmierzchach gaśnie.

W tej poetyckiej szaradzie rozbłysku jest jeszcze jeden czynnik, który ją wznosi, uskrzydla i uśpiewnia. To — artyzm. Przemówiły już nim licznie rzucone w tym szkicu cytaty. Leśmian — poeta tajemnic i miłości, smutku i śmierci jest też wielkim artystą - malarzem. Jako poeta używa za płótno przezroczystej, nieuchwytnej kanwy snu i nicości. Pędzlem, którym jest nadzwyczajne wizionierskie widzenie szkicuje obrazy o jakimś zaświatowym, fantastycznym kolorycie. Na tle, którym jest zawsze dal i nieskończoność powstaje mediumiczny, widziany poza rzeczywistością obraz świata. Ponieważ artysta posługuje się w swej sztuce malarskiej nie tylko barwą ale i dźwiękiem, w obrazie tym widać to, co nie jest widzialne.

I szelest cienia, gdy z wierzby sfruwa i w trawę spragnioną ochłody ścieka kropla za kroplą. I dzwonienie komara w beczce i cały świat oślepły od słońca, dzwoniący deszczem wesołym. W wizji poety żyje to, co nie żyje, barwi się dźwięk i dźwięczy barwa i jest wszystko, choć właściwie nie ma nikogo. I wszystko, na co patrzy przez czarodziejski pryzmat swego artyzmu srebrzy się, złoci niesamowitymi barwami, widzeniami, kształtami. Nawet przyroda ma ludzki kształt i mowę. Woda rozmawia z rusałkami. Mgły — siostry za ręce w blask się wiodą. Drzewa przez sen bezkresami bredzą. I cień parowu za gajem patrzy na mijające się cisze. Modli się wiatr i brzoza kokietuje strumień a wieczorem Bóg wie o czym tak długo z nim szepcze i szepcze...

Na każdej karcie, na każdej nawet stronicy twórczości Leśmiana jest tego artyzmu przepych i bogactwo. Olśniewa on i zdumiewa naprzemian językiem i stylem, rymem i metaforą, skończonym pięknem budowli poetyckich i doskonałą konstrukcją artystyczną. Począwszy od ballad takich jak „Dąb", „Ballada bezludna", w których już jest na szczycie wirtuozerii i doskonałości przez Pieśni Kalekujące aż do wierszy: Pszczoły, Wiosna, Urszula Kochanowska, W odmętach wieczoru, Do siostry, jest nigdy nie powtarzający się, a zawsze inny, nowy i mistrzowski.

I tak rozwłóczyły się po niebie słowa dźwięczne i zwiewne, swawolne i bezsterne. Zaroiło się w sadach od tęcz, które rozpięły swe łuki triumfalne i rozgorzały barwami na cześć sprzysiężonego z nimi śpiewaka. A on — przeszedł tamtędy. Lecz nie chciał pewnie bez śladu przepaść w bezkresie, bo śnił się jeszcze i migotał czerwony, zielony, srebrzysty, złocisty jak niemijający sen.

Wdziejmy szatę niewidkę, pożyczmy powiewności od snów albo od skrzydeł motylich i idźmy ale cicho... lekko... I baczmy na wszystko...

Po drodze spotkamy cmentarz.

Wstąpmy tam i zaufajmy własnym krokom co nas wiodą, bo tu nikt nam nie poda dłonią znaku. Wszystkie oddawna w nic się rozwiały.

Na złotym piaskiem wysypanych alejkach słońce układa zmienne łamigłówki blasków. Ominmy je i połóżmy się cieniście koło Jego grobu.

Między chłodnymi marmurami pomników przekomarzają się ze sobą cisza i światło. A opodal gwarzą drzewa. Wsłuchajmy się w te szmery.

Złowimy słowa... potem zdania. Jest to modlitwa za poetę. Powtarzajmy ją za szeptem liści w skupieniu:

Przebacz smutkom i widziadłom, nieznającym rodowodu
I opacznym kwiatom, com je snuł z niczego
Moja wina. O Boże, wejdź do mojego ogrodu.
Wyznam Tobie całą zwiewność, całą gęstwę mojej wiary
W życie zagrobowe kwiatów i motyli
Wejdź do mojego ogrodu. I cóż z tego, że czary.
I cóż z tego, że ułuda nikłej chwili...

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI

Słowo wspomnienia

Zmarł w Warszawie inż. Henryk Stifelman, wybitny i zasłużony budowniczy, któremu Warszawa zawdzięcza wiele pięknych gmachów użyteczności publicznej. Ale ten świetny inżynier, odznaczony niemal trzydziestokrotnie za swoje prace, ten niestrudzony pionier, który torował nowe drogi w architekturze, zapisał się nie mniej trwale w pamięci Warszawy jako człowiek, demokrata i humanista. Wrażliwy na krzywdę i niedolę ludzką i na losy młodzieży, pozostawał niezmiennie przez długie dziesięciolecia w służbie ofiarnej, pracował również na rzecz budownictwa domów robotniczych i często w tej sprawie zabierał głos na łamach „Robotnika".

Architektonika Jego duszy o wyraźnych motywach wzniosłości uderzała tym samym pięknem i niezwykłością, co i jego dzieła architektoniczne, utrwalone w kamieniu.

Podwójny nurt Zegadłowicza

Artykuł Boreiszy o Zegadłowiczu („Obcy nurt", — „Sygnały" nr 44) wywołał w sferach czytelniczych i zawodowo-literackich zrozumiałe zainteresowanie. Jednak dyskusje z tym artykułem związane odbiegają, niestety, od charakteru pożądanego, obiektywnego, stają się często niepoważne, niezależnie zresztą od tego czy dyskutantami są zwolennicy czy też przeciwnicy Zegadłowicza.

Winę ponosi tu, moim zdaniem, przede wszystkim Boreisza, który poważne bezwątpienia zagadnienie Zegadłowicza i „zegadłowszczyzny" wydatnie **zwęził**, potraktował temat zbyt lekko, **niepełnie**, upraszczając sobie tu i ówdzie problem, by wreszcie skierować go na fałszywe tory. Sprawa to tym przykrzejsza, jako, że całość pracy Boreiszy, utrzymana zresztą w tonie spokojnym, powściągliwym, robi jednak wrażenie ogólnej charakterystyki Zegadłowicza: **jako pisarza i jako człowieka.** I skoro założymy, że niektóre tezy i wnioski Boreiszy (pomijając ich zbyt „ostre" sformułowanie) są słuszne, rozpatrywane w połączeniu ze sprawami ogólnemi — wymagają koniecznej korektury.

Z pasją i temperamentem zabrał się Boreisza do „odbronzowienia", albo raczej do „zdemaskowania" Zegadłowicza. Energicznym ruchem zerwał krytyk z autora „Zmór" „bezprawnie" nałożoną przyłbicę radykalizmu społecznego, za którą według Boreiszy, kryje się właściwie — prekursor drobnomieszczańskiego dekadentyzmu i bojownik literacko-społecznego „panseksualizmu".

Z dobrą wiarą w swe posłannictwo, suggeruje Boreisza czytelnikowi sąd (już w tytule!) jakoby uważał twórczość Zegadłowicza za radykalno-społeczną, ba! nawet za rewolucyjną, gdy w rzeczywistości tak nie jest. Twórczość Zegadłowicza — powiada Boreisza — jest „nurtem obcym" radykalizmowi społecznemu; jest to protest — bunt drobnomieszczaństwa przeciwko „rzeczywistej rzeczywistości", bunt, który w pewnych określonych warunkach historyczno-socjalnych przybiera wyrodzoną formę przerostu życia seksualnego itp. rozwiązłości. Na potwierdzenie zaś swoich tez przytacza Boreisza przykłady takiego zwyrodnienia w różnych epokach i krajach, i wreszcie stwierdza śmiało (czy nie cokolwiek zbyt apodyktycznie?), że Zegadłowicz w Polsce jest odpowiednikiem... H. Ewersa w Niemczech i F. Céline'a we Francji!

Nasamprzód więc słów kilka o tym śmiałym zestawieniu.

Wymienienie jednym tchem Ewersa, Céline'a, Boya i Zegadłowicza jako jakichś czterech „braci sjamskich" złączonych „ideologicznym" węzłem panseksualizmu — wygląda napozór groźnie, ale jednocześnie wskazuje to na wybitne **upraszczanie problemu.** Jest to **efekt paradoksalności.** Pomijając bowiem „inność" formalną czy tematyczną, różniącą twórczość wymienionych pisarzy, **dzielą ich** przede wszystkim sprawy nieporównanie ważniejsze, tj. — **ideologia i cel, ku któremu zmierzają.**

Socjolog literatury powinien badać problemy społeczne — a do nich należą i zjawiska literackie — nie w stanie bezwładu, ale w ruchu, dialektycznie.

I gdyby Boreisza tak właśnie podszedł do zagadnienia twórczości Zegadłowicza, nie wyciągnąłby może z niektórych słusznych założeń — wniosków błędnych. To zaś, że Boreisza zestawia podobne w treści cytaty Boya i Zegadłowicza — bynajmniej nie jest przekonywające. Wiemy, że luźne cytaty z dzieł mogą być różnie dobierane. Z tych samych utworów Zegadłowicza cytowanych przez Boreiszę możnaby z powodzeniem przytaczać ustępy inne, któreby rozumowaniu „Obcego nurtu" zadały wręcz kłam. Ale nie o to nam przecież idzie.

W artykule swoim stara się więc Boreisza udowodnić, że Zegadłowicz nie jest bynajmniej, jak to mylnie sądzono, pisarzem radykalnym, że — odwrotnie — twórczość Zegadłowicza jest aspołeczna i antyspołeczna. Zastanówmy się, ile w tym oskarżeniu prawdy.

Dla rozjaśnienia dyskusji uważam jednak **w tym wypadku** za konieczne rozdzielenie dwóch spraw: człowieka i artysty. W Zegadłowiczu istnieją bowiem dotychczas jakby dwa nurty, czy też **nurt podwójny,** który w przyszłości dopiero, jak można przypuszczać, wystąpi w postaci jednorodnej.

To, że pisarz nie wyraża w swojej twórczości artystycznej dążeń historycznych pewnej klasy społecznej, to, że nie odzwierciadla jej walki — cierpień i zwycięstw, radości i klęsk — **nie znaczy jeszcze, że jego działalność artystyczna jest klasie tej wroga.** Możemy, owszem, żałować, gdy jednostki skądinąd światłe, postępowe, jednostki potencjalnie predestynowane do oddziaływania na społeczeństwo w duchu pożądanego postępu — nie poświęcają się bez reszty temu celowi, nie stają bez zastrzeżeń do historycznego apelu Jutra.

Ale ubolewanie i stwierdzenie przykrego (powiedzmy to sobie!) faktu, nie uprawnia nas jednak jeszcze do „szufladkowania", do wciągnięcia takich jednostek w rejestr takiej czy innej formacji reakcji społecznej. Są to metody błędne, i poważna krytyka powinna od metod takich stronić. Hasło: — „Kto nie z nami, ten przeciwko nam!" — w momencie wciąż jeszcze ruchomej „linii podziału", w chwili gdy proces ideowo-społecznej krystalizacji inteligencji jeszcze trwa — jest hasłem i prymitywnym i na manowce prowadzącym.

I tu dotykamy mimochodem najważniejszego punktu artykułu Boreiszy. Przy bliższym bowiem zastanowieniu się nad postawową tezą „Obcego nurtu" dochodzimy do wniosku, że Boreisza z całym impetem wywalił... drzwi otwarte!

Gdy założymy, że żaden „radykalny" krytyk literacki w Polsce nie przypisał nigdy twórczości Zegadłowicza charakteru „rewolucyjnego" — podstawowe tezy i konkluzje Boreiszy zawalą się łatwo. A tak jest!

Wyłączając zawodowych węszycieli „miazmatów", nikt nie pisał o utworach Zegadłowicza, jakoby zawierały w sobie ładunek rewolucyjności społecznej. Owszem, zwracano powszechnie uwagę na bezsprzeczną rolę demaskatorską, jaką odegrały „Zmory" (i z tym Boreisza częściowo się zgadza); podkreślono ogólną odwagę autora, ale na tym też i koniec. **Pozorną rewolucyjność zawartą w utworach Zegadłowicza podnosili... reakcjoniści.** To oni przecież wyklinają Zegadłowicza z ambon, oni organizują „permanentne krucjaty" przeciwko „bezbożnikowi", oni, nie czytelnicy, ani, tym bardziej krytycy radykalni obwołali Zegadłowicza „bolszewikiem"...

Gdyby więc Boreisza ograniczył się do stwierdzenia tego faktu-truizmu, polemika z nim byłaby zbędna. Zgodzimy się wszyscy (przypuszczalnie także i Zegadłowicz), że cały **dotychczasowy** dorobek twórczy autora

„Zmór“ nie należy do tego gatunku piśmiennictwa, który zwykliśmy nazywać rewolucyjnym. To jest fakt. Sprawa zaś rezonansu i „społecznego zamówienia“ na tego rodzaju twórczość jest zagadnieniem innym i do niego jeszcze powrócimy.

Ale Boreisza wypowiada w swoim artykule szereg myśli, które, niezależnie od powyższego stwierdzenia są błędne i **Zegadłowicza krzywdzące.**

Występując w pracy swojej w roli socjologa literatury bagatelizuje Boreisza, często zaś odrzuca, wszelkie poza socjologiczne aspekty twórczości artystycznej. ekspresji, różnorakie założenia formalne itp. Z tych samych „czysto socjologicznych“ powodów wychodząc, uważa Boreisza za możliwe odsunięcie na plan drugi „organizacji elementów sztuki“ w twórczości Zegadłowicza, zastanawiając się tylko nad jej „charakterem“ i nad oddziaływaniem na czytelnika.

Zasada ta, niepewna jako metoda zjawisk społecznych, w odniesieniu do analizy twórczości jednostki psychicznie tak skomplikowanej jak pisarz, staje się łatwo zdradliwa. I dlatego też bezapelacyjność sądu Boreiszy jest często tak rażąca.

Zgodzi on się przecież z tym, że trudno **już teraz** zsaldować twórczość Zegadłowicza. Żywotny ten pisarz, którego linia rozwoju jest daleko nie prosta — odbył tak potężną drogę od „Powsinogów“ do „Pokoju dziecinnego“, że pewne tylko zapowiedzi przyszłej twórczości (choćby znane z fragmentów drukowanych w prasie — „Egzystencje“) uprawniają nas do przypuszczenia, że niejedną jeszcze niespodziankę zrobi Zegadłowicz swoim krytykom.

Dla każdego, kto przy badaniu zjawisk sztuki nie odrzuca lekką ręką momentów indywidualno-psychicznego procesu kształtowania się wizji artystycznej u jej twórcy, kto nie bagatelizuje w ogólnym rachunku drogi już odbytej przez artystę, kto wreszcie (i tu właśnie pole dla socjologa literatury) potrafi przewidzieć przyszłą drogę pisarza — ten zrozumie, że nie jest rzeczą łatwą przeskoczyć jednym susem rów dzielący, jak w naszym np. wypadku, „świątkarza beskidzkiego“ od... socjalizmu.

Osobistym moim przekonaniem jest, orientując się według osiągnięć dotychczasowych, znając założenia, idee i możliwości, wiedząc coś niecoś o zamierzeniach, — że Zegadłowicz znajdzie wreszcie drogę, której niewątpliwie szuka.

Skorośmy wyjaśnili i uzgodnili poniekąd tezę podstawową „Obcego nurtu“ — rozpatrzmy zarzuty inne.

Można naogół zgodzić się z twierdzeniem Boreiszy, że „oblicze społeczne pisarza określa jego twórczość“. W naszym wypadku jednak regułę tę właśnie wyjątek potwierdza.

W wypadku Zegadłowicza, dla objektywnego zanalizowania jego twórczości i jego prywatno-społecznego oblicza, **musimy uwzględnić ogólną postawę pisarza.** A ta postawa? — orientują się w niej wszyscy.

W tym punkcie zahaczamy o **problem rozdarcia wewnętrznego artysty.** Zagadnienie to, o kapitalnej doniosłości psychicznej, nie może być wyeliminowane przy „chemicznej“ analizie pisarza tak dużej klasy, jak Zegadłowicz. Zresztą przykłady wewnętrznego rozszczepienia ideowego, psychicznego rozdwojenia, **dwunurtowości** — spotykamy dość często w historii. I w takich wypadkach **rozbiór jednostronny, analiza fragmentaryczna, prowadzi do wniosków błędnych, połowicznych, a już zawsze krańcowo sprzecznych.**

Boreisza zastrzegł się wprawdzie w swoim artykule, że przedmiotem jego badań jest „nie poziom artystyczny tych utworów“, nie „indywidualno-psychiczne procesy rozwoju autorów“, ani (nawet!) „etyczna i utylitarna strona tej twórczości“, tylko — „zjawisko literackie uwarunkowane zmianami socjo - psychicznemi społeczeństwa, które powodują, iż dany utwór w danym okresie cieszy się powodzeniem, że znalazł grunt podatny w masie czytelniczej i stworzył, poprzez niezawodnych diagnostów tych nastrojów — wydawcę i nakład — podświadomy czy świadomy popyt na ten gatunek twórczości“.

Pomimo tych zastrzeżeń, jak już zaznaczyłem, **całość artykułu Boreiszy maluje nam obraz Zegadłowicza.** Wkroczył więc Boreisza, świadomie czy nieświadomie, w dziedzinę poważną, w dziedzinę, której bagatelizować nie wolno, wkroczył w sprawę osobowości i postawy życiowej pisarza! Gdy zaś uświadomimy sobie ogólną postawę Zegadłowicza — wyjaśni nam się może i drugie zagadnienie, przez „Obcy nurt“ poruszone — rezonans u czytelników i „społeczne zamówienie“ na twórczość niektórych pisarzy.

Otóż stanowisko, jakie Zegadłowicz zajmuje **od kilku lat** wobec przejawów codziennej „szarości“, jego odważna, pełna odpowiedzialności i godności postawa w walce z „wielkim kołtuństwem“, klero-faszystowskim, uparta walka z wszelakim zakłamaniem i obskurantyzmem, wreszcie — szczerze demokratyczny sąd i stosunek do „świata pracy“ — **wszystko to uczyniło niewątpliwie z Zegadłowicza pewnego, oddanego i uczciwego szermierza Demokracji.** Ten zaś „nurt“ radykalizmowi społecznemu **obcy nie jest!**

Oto więc mamy i ognisko rezonansu i źródło popularności i zaufania, jakim cieszy się Zegadłowicz. Inna rzecz, czy Zegadłowicz nie „nadużywa“ zaufania czytelnika. Sprawa to zresztą niebezpieczna dla obu stron, tak dla konsumenta, jak i dla producenta literackiego. Czytelnik, szukający w literaturze twórczego realizmu i humanizmu, a nie **przejaskrawionego naturalizmu** (oto zarzut podstawowy, jaki Zegadłowiczowi postawić należy!) może się odwrócić od autora utworów „pozmorowych“. I to powinno być dla Zegadłowicza groźnym memento.

Przejdźmy z kolei do zagadnienie siły sugestywnej literatury i jej mocy oddziaływania na bieg życia społecznego, na kształtowanie się światopoglądu i idei czytelnika.

Przypisując pisarzowi dużą siłę oddziaływania, powiada Boreisza w pewnym miejscu tak: „Odtąd wyrosła na glebie społecznych przemian, literatura przestaje być tylko skutkiem, ale poczyna prawem wtórnego oddziaływania wpływać na nurt społeczny“. Ale trochę niżej, cytując Huxleya, powtarza za nim myśl, która powinna była autorowi „Obcego nurtu“ poniekąd wyjaśnić „niewinność“ Zegadłowicza.

„Jedną z ironii losu pisarza, pisze Huxley — jest, że nie może mieć nigdy pewności co do rodzaju wpływu, jaki wywrze na czytelnika“...

Słuszna to myśl i głęboka. Prawo t. zw. „heterogonii celów“ znane powszechnie w historii przemian społecznych, posiada też swój odpowiednik w życiu i działaniu jednostek.

Analizując Zegadłowicza jako skomplikowaną jednostkę twórczą, wnikając w jego założenia artystyczne i filozoficzne — dojdziemy łatwo do wniosku, że zamierzeniem autora „Pokoju dziecinnego“ nie było bynajmniej propagowanie społecznego „panseksualizmu“ jako „wyrazu irracjonalistycznego szukania interpretacji otaczającego świata“.

Słusznym wydaje mi się tedy założenie, że wew-

nętrzny nurt twórczości Zegadłowicza zasilany jest jakąś, **nieskrystalizowaną jeszcze dotychczas, syntezą myśli przyrodniczo-freudowskiej.** Chociaż w pierwszym momencie założenie to wydaje się paradoksalne, sens jego posiada jednak wszelkie cechy słuszności. Łatwo bowiem stwierdzić, że tak moment przyrodniczego punktu widzenia (stąd seksualizm), jak i moment freudowskiej interpretacji przeżyć jednostek (stąd wyrafinowany psychologizm) — stanowią podstawową dominantę w twórczości Zegadłowicza.

I dlatego też trzeba podkreślić, że porównanie Céline'a i Ewersa z Zegadłowiczem jest dla tego ostatniego wysoce krzywdzące.

Bo jeśli już szukać dla Zegadłowicza przykładów i porównań na Zachodzie, nie znalazłbym ich w kombinatorze Ewersie, ani w nihiliście Célinie.

Twórczość Zegadłowicza, **formalnie** surrealistyczna i wyrafinowana, przy jego radykalnej postawie życiowej — przypomina raczej Gide'a i jego (niepublicystyczną) twórczość „pięknoduchowsko-estetyczną".

I jeszcze jedno. Boreisza, odmawiając „Zmorom" zasadniczego, głębszego sensu dydaktyczno-wychowawczego, zawartego w tym utworze — alarmie, w tym wielkim akcie oskarżenia wytoczonym wychowawcom mieszczańskim — stawia przed czytelnikiem taki oto dylemat: „Czy Zegadłowicz stał się realistą, by w swoich Wadowicach dojrzeć proces, wyodrębnić elementy twórcze od rozkładowych? Czy — naodwrót — podobnie jak Céline, sfotografował potworność, napiętnował ją, ale wyjścia z niej nie dojrzał?"

Odpowiedzią na te pytania ma być list jednego z czytelników „Zmór" do ich autora. Czytamy: „Muszę przyznać, iż nie wiedziałem, acz „żyłem w Wadowicach z żywymi", iż zagadnienie seksualne odgrywało taką rolę i przybierało takie kształty jak to pan maluje. Czy może walka o chleb tak pochłonęła, żem sam okres dojrzewania przeżył bez wstrząsów?"

Właśnie w pytaniu tego czytelnika mieści się odpowiedź dla Boreiszy. Zegadłowicz „ograniczył się" (a to jest jego dobre prawo artystyczne) do „odkrycia zgnilizny", do zdemaskowania obłudy i zakłamania niepowołanych pedagogów, które to indywidua pozbawione horyzontu, nie posiadając żadnych rozwojem uwarunkowanych perspektyw i ideałów wychowawczych — zmuszone są dopuszczać do przerostu wszelkich namiastek psycho-fizycznego „wyżycia się" i do moralnej degeneracji. Mieć pretensję do pisarza o to, że nie przeciwstawia czarności — bieli, że nie pokazał w tym samym utworze strony drugiej, szlachetnej, tej która, „będąc pochłonięta walką o chleb", nie podlegała rozkładowej atmosferze środowiska — znaczy żądać od artysty sprymitywizowania dzieła sztuki. Ale tu wkraczamy już w dziedzinę formalistyki, a artykuł Boreiszy momentów tych nie porusza.

Wracając jeszcze do kwestii „panseksualizmu „warto zwrócić uwagę, że Boreisza niesłusznie przypisuje temu zjawisku społeczno-literackiemu siłę zbyt demoniczną.

Pisze Boreisza tak: „Literatura panseksualistyczna oddziaływa często na element niespołeczny ludzi marginesowych, którzy na tle tego irracjonalnego buntu przechodzą do... racjonalnej służby w obozie reakcji. „Albo: „bunt i panseksualizm przerodziły się w faszyzm".

Przytaczam zdania te nie po to, by skorygować Boreiszę, czy też oświetlić prawdziwą genezę faszyzmu. Autor „Obcego nurtu", jako socjolog orientuje się w tych sprawach chyba dobrze. Idzie mi raczej o wskazanie na niebezpieczeństwo przytoczonych sformułowań, z których pochopni mogliby wyciągnąć fałszywe wnioski odnośnie samego Zegadłowicza, który, według Boreiszy, reprezentuje przecież tendencje panseksualistyczne...

Bo, trzeba to na zakończenie stwierdzić, — Zegadłowicz znajdzie wreszcie jako pisarz drogę, której od tak dawna szuka, drogę artystycznego i społecznego realizmu.

JAN KAROL WENDE

W godzinach wielkiej próby

Czechosłowacja, która po zaborze Austrii znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i oko w oko z groźbą nawały hitlerowskiej, jest dziś przedmiotem napiętej uwagi całego świata. W emigracyjnym czasopiśmie niemieckim „Das Neue Tagebuch" znajdujemy kapitalny artykuł, pióra Roberta Leurquina, poświęcony frapującym zagadnieniom siły i zdolności obronnej Czechosłowacji. Pragnąc zapoznać Czytelników z tym bardzo źródłowym, objektywnie i ze znawstwem pisanym artykułem, przytaczamy go w obszernym i wiernym streszczeniu.

EPOKA.

Potęga militarna Czechosłowacji z pewnością nie jest tak wielka, aby mogła zmierzyć się z potęgą niemiecką w odosobnionym pojedynku. Pomimo to Czechosłowacja pozostaje dla Niemiec niebezpiecznym przeciwnikiem. Doświadczenia wojny światowej i nie mniej doświadczenia Hiszpanii i Chin pokazały wymownie, że wojna nie wygrana w pierwszych tygodniach, jest albo wojną przegraną, albo też tak dalece wyczerpuje napastnika, że nie ma on żadnej korzyści ze swego przedsięwzięcia.

Armia. Jedynie tylko specjaliści znają dokładnie potencjał wojenny Czechosłowacji. Szefowie Reichswehry zawsze go wysoko cenili. Sam byłem w Berlinie świadkiem, jak przysparzał on im nie tak dawno dosyć dużo trosk. Prawda, że od tego czasu armia niemiecka zrównała się z francuską, ale odpowiednio także powiększyła się obronność Czechosłowacji, tak że armia czechosłowacka jest obecnie narówni z francuską i niemiecką jedną z najlepszych na kontynencie. Ponadto pogotowie przemysłowe i moralne jest kompletne i można uważać Czechosłowację za jedyny kraj, obok Niemiec, który znajduje się w ciągłym pogotowiu wojennym i który nie ma powodu obawiać się nagłego ataku. Stosunek jest proporcjonalny gdy chodzi o materiał ludzki: republika czechosłowacka, która posiada czwartą część ludności Rzeszy, posiada tyleż wojska, na 160 dywizji niemieckich 40 dywizji czeskich. Jednakże po zaborze Austrii i powiększeniu armii niemieckiej, aby zachować proporcję, Czechosłowacja będzie zmuszona wprowadzić trzyletnią służbę wojskową i w ten sposób powiększyć efektywy dla nowych ośmiu dywizji.

Idee strategiczne. Poglądy strategiczne dowództwa wojskowego Czechosłowacji są wyjątkowo realistyczne. Nie daje się ono zahypnotyzować terenem. Kieruje się zasadą: kto chce przetrzymać, musi manewrować. Nie pozwolić przeciwnikowi na błyskawiczne rozstrzygnięcia i wy-

niszczyć go ciągłymi walkami terenowymi. Do tego celu służy linia Maginot'a, wzmocniona naturalną linią gór czeskich, poza którą ma oczekiwać przeciwnika armia czeska. Gdy linia ta dokona tego, czego po niej spodziewa się dowództwo czeskie, ma być zastosowany odwrót na około 300 km. Już prawie na połowie tej drogi odwrotu flanki będą kryte przez naturalne, albo betonowe fortyfikacje. Na 300 km długości dawnej granicy austriackiej armia czeska natrafia na korzystną sieć rzek i trudny do zdobycia teren, czym skutecznie się broni przed atakiem zmotoryzowanych oddziałów. Jeżeli będzie się cofać tylko dziesięć km dziennie — co samo przez się jest dużą przeciętną — może w ten sposób bronić się miesiąc i przez cały czas nie stracić obszaru przemysłu zbrojeniowego. Co się tyczy pomocy Sowietów, dowództwo armii czeskiej zdaje sobie sprawę, że w pierwszych ośmiu dniach może być co najwyżej mowa o pomocy na drodze powietrznej. Pomoc drogą lądową da na siebie nieskończenie dłużej czekać. Armia rosyjska jest oddalona od zachodniej granicy Czechosłowacji o 1200 km. A więc czechosłowackie dowództwo wojskowe liczy wyłącznie na francuską pomoc, gdyż ta może być błyskawiczna w skutkach.

Ale z francuską pomocą, czy bez niej, bronić się będzie armia czeska do ostateczności, żeby skłonić swoich sojuszników i sąsiadów do współdziałania. Oto są linie charakterystyczne rozumowania wojskowych czeskich: „Niemcy nie mogą skierować na nas wszystkich swoich sił wojskowych, nie mogą nas zaatakować w stosunku czterech do jednego. Muszą co najmniej oddzielić połowę wojska, ażeby obronić swoje granice z Francją, Polską i krajami bałtyckimi; jest to przytem stosunek dla Niemiec korzystny. Będziemy więc musieli walczyć w stosunku dwóch do jednego, a przy tym stosunku nie ma żadnych widoków, żeby nas zwyciężyć. Da to nam czas bronić się tak długo, aż atak niemiecki rozpęta wojnę ogólną, która, podobnie jak w 1914 — 18 zakończy się zdruzgotaniem napastnika".

Prawda o niebezpieczeństwie dezercji

Kwestia uświadomienia narodowego jest bardziej istotna w Czechosłowacji, niż gdziekolwiek indziej, gdyż w armii czeskiej są nietylko Czesi, ale Słowacy, Niemcy, Białorusini, żeby wymienić tylko liczniejsze mniejszości narodowe. W razie napadu na terytorium czechosłowackie, Czesi i Słowacy, którzy stanowią 9 i pół miliona ludności, będą walczyć zdecydowanie ramię w ramię. Z tej strony nie należy oczekiwać ani zdrady, ani niespodzianek, nawet gdyby walka miała być zaciekła. Od czasu ostrych ataków prasy niemieckiej na Czechosłowację w zeszłym roku, nastawienie Czechów i Słowaków jest podobne do nastawienia Francuzów w 1914 r. Moralnie są oni gotowi do wojny, z Francją, czy bez niej. Jest jeszcze kwestia Niemców Sudeckich, których jest trzy miliony. Sprawa jest bardzo drażliwa, gdyż są to Niemcy, którzy mieszkają na terytorium, mającym kluczowe znaczenie dla obrony kraju. Dotychczas sprawa przedstawiała się w sposób następujący: Henlein miał za sobą 60% ludności niemieckiej, 40% byli to t. zw. aktywiści, lojalni w stosunku do państwa, to znaczy z trzech milionów Niemców tylko dwa miliony t. j. siódma część ludności była niepewna. Hitler ma u siebie z pewnością tyleż komunistów. Ale teraz, odkąd aktywiści przeszli na stronę Henleina, rachunek ten nie odpowiada rzeczywistości i powstaje pytanie, czy obrona kraju nie otrzyma ciosu z tyłu.

Próbowaliśmy na miejscu zbadać obiektywnie tę sprawę. Nasz wniosek jest prosty: środki ostrożności, zastosowane w armii, są tak skuteczne, że powtórzenie się masowej dezercji, jaka się zdarzała w armii austriackiej podczas wojny światowej, wydaje się praktycznie niemożliwe. Wiadomo, że inspiratorami owych dezercji byli właśnie Czesi, dało to sprzymierzonym wzrost liczby kombatantów o przeszło 600 tysięcy ludzi. Wobec tego trzeba Czechom przyznać pewnego rodzaju kompetencję w tym względzie. Praktyka dokładnie nauczyła ich, że masowe dezercje mogą być uskutecznione tylko przez oficerów, lub podoficerów. Wobec tego dowództwo armii czechosłowackiej jest w 98% czeskie! Ten zasadniczy środek ostrożności wzmocniono jeszcze innymi środkami, jań np.: cała obsługa pewnych rodzajów broni jest czeska, jak również całkowicie czeski jest sztab generalny. W żadnym pułku obsługa efektywów nie wynosi więcej, niż 15% Niemców. Nad niemiecką granicą stoją jednostki w 100% czeskie i w miarę konieczności granica ta tylko przez nie będzie broniona. Kandydaci na oficerów w rezerwie, którzy obowiązkowo posiadać muszą maturę, poddani są przed przyjęciem egzaminowi, który wyłącza dopuszczenie jakichkolwiek wątpliwych elementów. Korpus podoficerski jest w 85% czeski. Dzięki specjalnemu systemowi zaciągu poziom duchowy i moralny tego korpusu znacznie przewyższa przeciętny. Armia czechosłowacka ma trzy rodzaje podoficerów; podoficerowie zaciągu pod bronią; kapitulanci z dziesięcioletnią służbą w wojsku, którzy po ustąpieniu z wojska, zamiast pensji, otrzymują posadę państwową; i wreszcie podoficerowie zawodowi. Dzięki wysokiemu poziomowi szkolnictwa w Czechach i na Morawach podoficerowie pierwszej i drugiej kategorii wszyscy mają dyplomy szkoły średniej. 10 tysięcy oficerów w służbie czynnej, 40 tysięcy oficerów rezerwy i 20 tysięcy w odpowiedni sposób wybranych podoficerów dają kadry o charakterze wyłącznie narodowym, który będzie w stanie utrzymać zwartość armii w obliczu nieprzyjaciela.

Solidny przemysł zbrojeniowy

W naszych czasach dowództwo wojskowe jest jednakowo zależne od potencjału gospodarczego, jak od materiału ludzkiego. W tym względzie w środkowej Europie Czechosłowacja zajmuje drugie miejsce po Niemcach i daleko przewyższa Włochy. Dysponuje ona ogromną liczbą niezrównanych robotników specjalistów. Zakłady Skody zatrudniają 50 tysięcy robotników, przedtem natomiast, było ich tylko 10400. Czechosłowackie fabryki broni w Brnie podwoiły swoją obsługę, ażeby sprostać wymaganiom eksportu broni, który się w ostatnich latach potroił. Oprócz Zakładów Skody istnieje 25 innych fabryk, które wyrabiają broń i armaty i 9 fabryk wyspecjalizowanych w produkcji samochodów pancernych i wojskowych. Istnieją trzy fabryki gazów trujących. **Mobilizacja przemysłowa z pewnością dorównywa niemieckiej, a kontrola jego jest niesłychanie ścisła.** Zakłady Skody i inne fabryki materiałów wojennych na Morawach mogłyby ulec zniszczeniu, lub opuszczeniu, ale to nie wywołałoby wielkiego zamieszania w fabrykacji materiału wojennego. Cały przemysł wojenny jest teraz skoncentrowany w części Karpat i właściwie jest niedosięgalny dla ataków lotniczych; naturalna obronność terenu jest ponadto wzmocniona przez potężną artylerię przeciwlotniczą.

Jak długo może trwać opór

Pozostaje nadal niebezpieczeństwo wojny powietrznej. W tej dziedzinie dysproporcja jest przygniatająca: jeden do pięciu. Niemcy mają tę przewagę, że rozporządzają 500 pomocniczymi lotniskami, które im umożliwiają translokację całej armii lotniczej

z zachodu na wschód w ciągu dwóch dni. Czechosłowacja ma połowę tej liczby samolotów, co posiada Francja. Ich bombowce są dobre; ale stosunek bombowców do samolotów myśliwskich jest niedostateczny. Czesi przypuszczają, że Niemcy uruchomią 150 swoich eskadr z ogólnej liczby 250, co im wystarczy, żeby w dwa dni kraj zniszczyć. Jednakże są zdania, że kilka skutecznych nalotów czeskich bombowców na południowe miasta niemieckie, wyrządzą stosunkowo większe szkody, niż liczniejsze naloty niemieckie na Czechosłowację. Bowiem 60% ludności Niemiec mieszka w miastach jak Drezno, Wrocław, Kamienica, Monachium itd., które wszystkie leżą w zasięgu bombowców czeskich, podczas gdy w Czechach, z wyjątkiem Pragi, miasta na północnym zachodzie zaludnione są przeważnie przez Niemców sudeckich.

Obrona powietrzna Pragi jest bardzo dobrze zorganizowana. Dowodzą tego ostatnie ćwiczenia przeciwlotnicze, które wykazały niezwykłe zdyscyplinowanie ludności. Jak widać potęga wojskowa Czechosłowacji znajduje się w ścisłym pogotowiu. Z pewnością nie jest ona w stanie zwyciężyć Niemcy. Ale może stawić im opór! I z tym liczy się czeskie dowództwo wojskowe. W zależności od pomocy z zewnątrz jej obrona mogłaby wytrzymać co najmniej jeden miesiąc, a najwyżej trzy.

ROBERT LEURQUIN

Dyplomatyczna dwuznaczność

Ostatnie tygodnie tak gorące i brzemienne w wypadki, przyniosły światu ważne i doniosłe pociągnięcia ze strony Watykanu. Trzeba stwierdzić, że w najważniejszej, niejako kluczowej sprawie czechosłowackiej, Watykan oświadczył się niedwuznacznie po stronie pokoju i wolności.

„Jeżeli się przyjmie zasadę, podług której jedno państwo może ingerować w sprawy drugiego państwa, aby bronić mniejszości narodowych, wtedy żadne z państw sukcesyjnych monarchii austro - węgierskiej nie będzie mogło ustrzec się od ingerencji obcych w swe sprawy, albowiem każdy z tych krajów obejmuje mniej lub bardziej liczne mniejszości narodowe, związane z przynajmniej jednym z krajów sąsiednich. Dlatego **polityka ingerencji oznacza wojnę**".

Słowa te, zaczerpnięte z oficjalnego organu Watykanu, „Osservatore Romano", z dnia 30 maja br., zawierają doniosłe i niedwuznaczne oświadczenie się za tezą czechosłowacką, przeciwko niemieckiej agresji. Słowom tym odpowiadały i konkretne pociągnięcia. Klerykalne stronnictwo tzw. „lidowców" Monsignore Schramka (nie należy ich mieszać z ludowcami, których odpowiednikiem jest w Czechosłowacji republikańskie stronnictwo agrarne!) odgrywało poważną rolę w zmobilizowaniu opinii czeskiej przeciw zachłanności niemieckiego imperializmu. Francuski książe Kościoła, kardynał Verdier, odwiedził Pragę, umacniając swymi słowy i swą obecnością pozycję moralną Czechosłowacji. Czytaliśmy w prasie polskiej odważne i słuszne słowa kardynała Baudrillart, skierowane do Polaków a poświęcone temu samemu zagadnieniu. Mamy podstawy do przypuszczenia, że kardynał Pacelli w swych rozmowach z biskupami słowackimi wskazywał im na niestosowność sojuszu katolików słowackich z pogańskim hitleryzmem Henleina. Wszystko to są ważne i cenne przyczynki do obrony pokoju i demokracji, świadczące, jak niesłusznie postąpiliby ci, którzy by chcieli zaliczyć cały obóz katolicki w czambuł do sił reakcji, którzy chcieliby pchnąć poważną, mogącą nieraz mieć decydujące znaczenie, siłę w objęcia totalizmu.

Kongres Eucharystyczny w Budapeszcie był jeszcze jednym dowodem fałszywości tego rodzaju ryczałtowych, apodyktycznych sądów. Delegat papieski, kardynał Pacelli, nie szczędził tam gorzkich słów pod adresem niemieckiego totalizmu, najwyższego protektora Faszinternu. Kardynał Pacelli mówił na kongresie po francusku. Co prawda, język francuski jest językiem dyplomacji, ale językiem Kościoła jest zwykle łacina. W użyciu języka francuskiego widziano ogólnie cichą, ale nie mniej wyraźną demonstrację przeciw osi, demonstrację na rzecz wolności i pokoju, które symbolizuje dziś demokratyczna, republikańska Francja. Znaczenie tej demonstracji powiększał jeszcze fakt, nie mniej wymownego milczenia delegacji niemieckiej, złożonej z kilkuset katolików niemieckich, duchownych i świeckich, którzy wbrew zakazom Gestapo zdołali przedostać się na kongres.

Ale niestety, obok tych radosnych i pozytywnych faktów trzeba zanotować i inne. Mniejsza już o to, że honory domu czynił rząd dziesięćkroć bliższy Berlinowi, niż demokracji francuskiej czy angielskiej, mniejsza także o to, że klerykali słowaccy księdza Hlinki, mimo nacisku Watykanu, trwają w sojuszu z Henleinem, zwolennikiem pogańskiego bożka Wotana. Możnaby to ostatecznie tłumaczyć sobie okolicznością, że słynna dyscyplina katolicyzmu ostatnio osłabła nieco. Kto już wie, jak zachowała się np. młodzież endecka podczas ostatniej „religijnej" pielgrzymki do Częstochowy, przyzna, że tłumaczy to wiele. Chodzi nam natomiast o stosunek Watykanu ujawniony chociażby na tymże eucharystycznym kongresie, do drugiej węzłowej sprawy polityki międzynarodowej dnia dzisiejszego, do problemu najazdu włosko-niemieckiego na Hiszpanię.

Wszyscy członkowie delegacji hiszpańskiej na kongres budapeszteński nosili demonstracyjnie kokardy frankistowskie. Zebranie pielgrzymów hiszpańskich i południowo - amerykańskich odbywało się pod znakiem totalistycznej propagandy. Trybuna mówców ozdobiona była nie krzyżem Chrystusowym, nie obrazami świętymi, nie emblematami eucharystycznymi, lecz sztandarem rebeliantów i portretem gen. Franco, agenta Hitlera, tego samego Hitlera, którego na tym samym kongresie zwalczał płomiennie ksiądz kardynał Pacelli. Mowy „eucharystyczne" kończyły się okrzykami „arriba Espana", viva Franco". „Wojny tej nie wolno kończyć kompromisem. Musi się ona skończyć kapitulacją

Republiki. Jedna jest tylko droga pacyfikacji. „pacyfikacja bronią" — oświadczył na tymże zebraniu prymas Hiszpanii, kardynał Goma, przedkładając, entuzjastycznie przyjęty przez zgromadzonych, wniosek o wysłanie hołdowniczej depeszy do „el Caudillo" do tego samego gn. Franco, który na polecenie niemieckiego ambasadora ostro zabrania odczytywać encykliki papieskie.

Ku końcowi uroczystości widzowie i wierni podziwiać mogli niespodziewany widok. Oto prymas hiszpański szedł w procesji otoczony nie klerem, ale umundurowanymi „jonsami" (młodzieżą faszystowską). Purpuratowi bardziej widocznie odpowiadały błękitne mundury, czerwone berety i rózgi liktorskie faszystów, niż mnisze habity, sutanny duchownych i kościelne ornaty.

Delegacji baskijskiej nie pozwolono przemawiać w języku ojczystym. Nie chciał też jej przyjąć kardynał Pacelli. Z trudem tylko pozwolono im wziąć udział w kongresie, gdyż kardynał Goma samą ich obecność uważał za obelgę dla siebie. Smętnie zauważa jedno z prawicowych pism francuskich, że propagandę na rzecz rządu barcelońskiego prowadziła w Budapeszcie najskuteczniej swym wyzywającym zachowaniem — nacjonalistyczna delegacja hiszpańska.

Widzimy tu pewną dwuznaczność postawy dyplomacji watykańskiej. Tam, gdzie dyplomacja ta ma do czynienia z totalizmem niekatolickim, a tymbardziej antykatolickim, tam przeciwstawia się mu ona w sposób wyraźny i zdecydowany i stanowi ona jedną z sił, wspierających walkę o wolność, jedną z sił, obiektywnie postępowych. Ale tam, gdzie żywi ona nadzieję, że uda się jej wziąć ten totalizm pod własną kuralelę, tam — im silniejsze są te nadzieje, tym odpowiednio mniej wyraźne staje się stanowisko dyplomacji watykańskiej i wysokiej hierarchii kościelnej, przechodząc—w wypadkach takich jak np. Hiszpanii, Portugalii, Austrii — w politykę jawnego popierania lokalnego totalizmu.

Rzecz prosta, mówimy tu o polityce dyplomacji watykańskiej. Nie mówimy o chrześcijańskiej demokracji, o tych odłamach obozu katolickiego, które zasadniczo, z głębi przekonania, stają na gruncie demokracji. Nie widać dwuznaczności w postawie katolików baskijskich, bohaterskich księży tego małego narodu, idących na śmierć razem z obrońcami republiki. Nie ma tej dwuznaczności u katolików francuskich grupy „Aube", i „Esprit", ani wśród znacznej części katolików niemieckich, znajdujących się w ciężkiej walce z pogańską dyktaturą hitlerowskiego totalizmu. Nawet w Polsce czytaliśmy w prasie katolickiej głosy przejęte duchem szczerej, konsekwentnej demokracji. Należy te demokratyczne odłamy obozu katolickiego stanowiące składowe części całego obozu demokracji, odróżniać od posunięć dyplomacji Kurii, która tylko na pewnych odcinkach, na pewien czas, w ściśle określonych warunkach, może być sojusznikiem obozu demokratycznego.

J. WĘGLIŃSKI

Na widowni polskiej i światowej

Cynizm czy... igraszka?

W „Nouvelle Revue Française" ukazał się artykuł André Gide'a p. t. „Les Juifs, Céline, Maritain". Przytaczamy urywki z pierwszej części artykułu, poświęconej sławetnej książce Céline'a „Bagatelles pour un massacre":

„Wydaje mi się, że krytyka na ogół utraciła zdrowy rozsądek, mówiąc o ostatniej książce Céline'a. Céline wiele ryzykował. Grał na najwyższą możliwą stawkę, jak to zresztą zawsze robi. Czynił, co było w jego mocy, aby uprzedzić, że nie bierze tego poważnie, że nie jest to nic innego, niż jazda Don Kichota prosto do nieba.

— Pamiętamy, jaki hałas wywołały jego dwie pierwsze książki. Krzyczano—„Geniusz!", albo „Skandal!". Wynoszono książki pod niebiosa lub ciskano do ścieku. Widziało się je wszędzie. Nawet prowincjonalne kioski, sprzedające zazwyczaj tylko gazety, wystawiały Céline'a. Wszędzie było go pełno. Nie można było go nie widzieć. Wszyscy o tym wiemy, a najlepiej sam Céline.

To też, gdy Céline mówi o sprzysiężeniu milczenia, które przeszkodziło sprzedaży jego książek, łatwo poznać, że z nas kpi. Kiedy mówi: „Żyd winien, że moje książki źle idą" — to jasne, że robi kawał. A gdyby to nie było kawałem, to Céline byłby niepoczytalnym człowiekiem, podobnie, jak wtedy, gdy w swoim pogromie zalicza bezładnie do Żydów: Cézanne'a, Picassa, Maupassanta, Racine'a, Stendhala i Zolę. Czegoż więcej wam potrzeba? Jak wyraźniej zaznaczyć, że to wszystko jest robione dla zabawy?... Robi co może, aby go nie traktować poważnie".

Cytatami umacnia André Gide swą tezę i pisze w dalszym ciągu o „Bagatelles pour un massacre": — Céline nakłada do „wysokości szóstego piętra" blag patetycznych i bez znaczenia, jak będzie to robił — miejmy nadzieję — w książkach następnych. „Ferdynandzie, aleź ty mówisz w gorączce! Na miłość boską, ty się urżnąłeś! Z nóg się walisz, słowo daję! — każe Céline mówić Gutmanowi, swemu usłużnemu rozmówcy w jednym z najbardziej udanych dialogów. I Ferdynand unosi się w oszołamiającym liryzmie, wyzwala wszystkie urazy i pasje — ku uciesze czytelników. Pewnych czytelników. Inni uważają, że jest to niewłaściwa zabawa literacka, która przy udziale głupców może zakończyć się tragicznie. O ile chodzi o kwestię żydowską, nie została ona nawet dotknięta. Jeśli zaś w „Bagatelles pour un massacre" należałoby widzieć coś innego, niż igraszkę, to Céline'a mimo całego jego geniuszu — nie dałoby się usprawiedliwić za to jedynie, iż z takim cynizmem i dezynwolturą poruszył najniższe namiętności.

Od wydawnictwa

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

Listy od Redakcji

Do Pana Redaktora „Epoki".

W związku z niektórymi poglądami p. J. K Wendego na moją książkę p.t. „Spowiedź", wyrażonymi w artykule na łamach „Epoki" zmuszony jestem zwrócić się do Pana Redaktora o łaskawe pomieszczenie w Jego piśmie następującego oświadczenia. A to, że bohater mojej powieści, Stefan Okoła, nie szedł w w swoim życiu po miedzach i dobrach pańskich. Nie szukał tam (dwór) żadnego rozwiązania żadnego chłopskiego problemu. Dalej — nie wpatrywał się w żaden lśniący z daleka dwór. Nie kroczył w jego kierunku, pańskie szyby nigdy go nie urzekały, wreszcie — nie usiłował w cieniu żadnego muru dworskiego znaleźć klucza do jakiegoś szyfru, którym według p. J. K. Wendego miało być „wybicie się"! Wszystko to, o co posądza p. J. K. Wende mojego bohatera, jest nieprawdziwe, co bardzo łatwo sprawdzić. Jak mam rozumieć takie sprawozdanie p. J. K. Wendego z mojej książki, skoro w „Spowiedzi" w ogóle o dworze nie ma mowy! A więc? Może to osobista napaść?

Na tym kończę i proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów mojego najgłębszego szacunku.

Warszawa, d. 20.V.1938. **Józef Morton.**

Do Pana Redaktora „Epoki".

Z prawdziwą przyjemnością powitałem oświadczenie pana Mortona w sprawie mego artykułu „Literacki problem wsi" w nr 12 „Epoki".

W związku z tym chciałbym zaznaczyć co następuje: — nie było bynajmniej moim zamiarem dyskredytować bohatera „Spowiedzi", ani tymbardziej jej autora. Wskazując na szlak, który obrał Stefan Okoła w swojej wędrówce życiowej, podkreśliłem tylko błędność tej drogi prowadzącej — zdaniem mojem — na ślepe tory.

Szczerze rad będę, gdy nadto dalsza twórczość pana Mortona zaprzeczy mojemu sformułowaniu, którym autor „Spowiedzi" poczuł się urażony.

*

Panu Jordanowi zaś na Jego zarzut „czepiania się" przypomnę **narazie** tylko to, że prawo metafory pisarskiej rozciąga się także i na pracę krytyczną. Do sprawy tej zresztą jeszcze powrócę.

Warszawa. **Jan Karol Wende.**

Szanowny Panie Redaktorze!

Poznań zalany jest wprost literaturą hitlerowską—o tym nie trzeba specjalnie pisać, ale to co się dzieje w ostatnich czasach należy podać do publicznej wiadomości, by wstrząsnąć sumieniami Polaków. Od pewnego czasu t.j. blisko od roku wszystkie księgarnie i kioski zalane są wprost pismami hitlerowskimi. We wszystkich kawiarniach i restauracjach Poznania przeważnie są wyłożone pisma niemieckie, tak chętnie czytane przez naszych „narodowców", natomiast w żadnej kawiarni nie można otrzymać polskiej gazety demokratycznej, wszystkie są wyklęte, gdyż sieją „miazmaty ze wschodu"! Jako przykład podam, że jest na ulicy Fredry, jedna duża kawiarnia, należąca do Polaka „narodowca" i dzierżawiona przez „narodowca". Zarząd tej kawiarni miał odwagę wywiesić w oknie wystawowym spis gazet, jakie są tam do dyspozycji klientów. Spis ten obejmuje 24 pisma, z których hitlerowskich drukowanych w języku niemieckim 10 (dziesięć), pism zaś polskich tylko 14. W „narodowym" i katolickim Poznaniu. Naturalnie między tymi 14-stoma nie ma ani jednego demokratycznego, są tylko różne reakcyjne, brukowe lub filohitlerowskie. W innych kawiarniach jest jeszcze gorzej. Czyżby ci wszyscy „narodowcy" nie wiedzieli, jak ułatwiają propagandę p. Goebbelsowi? Przecież z tego wynikałoby, że Poznań to „Urdeutscherland", gdyż 40 do 50% ludności czytuje pisma niemieckie, że cała ta kultura jest z ręki niemieckiej.

Ale tego te zakute lokajskie dusze nie czują. One chwalą wszystko co czuć niewolą, co dusi i gnębi każdy ruch wolności i swobody, nie razi nawet tych „zapisanych" katolików, że te wszystkie piśmidła propagują hasła i dążenia bezbożnicze i pogańskie, im wystarcza że to jest czysty rasowy aryjski duch nie „zatruty zgnilizną żydowską", tacy są nasi „narodowi katoliccy" Poznańczycy.

Zechciej Panie Redaktorze przyjąć wyrazy głębokiego szacunku. **A. R-ski.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Dr. J. K. w Gdyni: Listu takiego nie otrzymaliśmy. Prosimy o bliższy adres.

Nauczycielce w Poznaniu: „Przewodnik literacki i naukowy, biuletyn dwumiesięczny". Związek Bibliotekarzy Polskich. Warszawa, Marszałkowska 69.

Panu M. R. w Białymstoku: Nie nadaje się do druku.

Panu St. K. w Tarnowie: Poruszaliśmy już kilkakrotnie i temat wyczerpaliśmy. Za miłe słowa dziękujemy. Numery wysłaliśmy.

Pani W. B. w Kaliszu: Przeciwnik Pani ma słuszność; powinno być: „przede wszystkim" i „na domiar". „Poradnik Językowy" wychodzi w Warszawie.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Helena Boguszewska: Anielcia a życie. Powieść radiowa. Przedmowa **Emilii Grocholskiej.** Warszawa, 1938. T-wo Wydawnicze „Rój".

Sinclair Lewis: Zabawmy się w króla. Powieść. Autoryzowany przekład **F. O. Drugara.** Lwów 1938. Wydawnictwo „Wierch".

Hans Fallada: Wiek pośród wieków. Powieść. Autoryzowany przekład **Marcelego Tarnowskiego.** Warszawa 1938. Instytut wydawniczy „Plan".

Hans Fallada: Wilk pośród wilków. Powieść. Autoryzowany przekład **Marcelego Tarnowskiego.** Warszawa 1938. Inst. Wydaw. „Plan".

Inż. Jędrzej Moraczewski: Rozważania nad położeniem politycznym i gospodarczym Polski. Nakładem autora. Warszawa 1938.

Od Wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał II

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4966 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.